Kurier literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 3

Wielki „tam - tam" dyskusji

na temat reformy studjów polonistycznych

W pierwszym zeszycie „Marchołta", kwartalnika poświęconego sprawom literatury i kultury, ukazał się artykuł Profesora U. J. Stefana Kołaczkowskiego o konieczności reformy uniwersyteckich studjów polonistycznych.

Artykuł ten wywołał w znacznej części prasy ożywioną dyskusję, można zatem zapytać, czy słusznie? Zasadniczo odpowiedź na pytanie wypadnie twierdząco. Zważyć bowiem należy, że sprawy wychowania i metod nauczania nie zostały w odrodzonej Polsce na tyle ustalone, aby nie miały stawać się raz po raz przedmiotem koniecznej dyskusji publicznej.

W odniesieniu jednak do artykułu Prof. Kołaczkowskiego w „Marchołcie" (i następnych artykułów w „Kurjerze Porannym") nasuwają się pewne zastrzeżenia.

Jak wiadomo Prof. K. występuje przeciw „dyktaturze" językoznawców w dziedzinie studjów polonistycznych. Oni to — jego zdaniem — „narzucają swoje rządy" polonistyce, nadając jej niewłaściwy kierunek, oni też uprawiają „sabotaż" (dosłownie!) koniecznej reformy studjów polonistycznych.

Otóż stwierdzić należy, że każdemu kto w okresie kilku ubiegłych lat brał jaki taki udział w życiu organizacyjnem studentów polonistyki i zna trochę chociażby organizację studjów polonistycznych — atak prof. K. na językoznawców musi wydać się dość niezwykłym. Przedewszystkiem dlatego, że sprawa, poruszona przez prof. K. została już gruntownie przedyskutowana przed przeszło 4 laty na IV-tym zjeździe Kół Polonistycznych w Krakowie. Co więcej, wyniki szczegółowej dyskusji zjazd krakowski ujął w formę uchwał, które przedłożono wszystkim Senatom Wyższych Uczelni, oraz Ministerstwu WR i OP.

Szkoda zatem, że Prof. Kołaczkowski który o tem wszystkiem doskonale jest poinformowany, bo pomagał nawet niżej podpisanemu w redagowaniu uchwał zjazdu, nie popchnął radykalnie sprawy naprzód przez poruszenie jej na forum Senatu U. J. Jeżeli jednak Prof. K. zdecydował się na poruszenie sprawy reformy studjów polonistycznych w drodze dyskusji publicznej, to: 1) wywodom swoim niezgodnie z istotnym stanem rzeczy nadał piętno oryginalności, 2) niepotrzebnie słuszne i trafne swoje uwagi obciążył bagażem inwektyw i wymyślań pod adresem językoznawców, przez co samo zagadnienie reformy uniwersyteckich studjów polonistycznych może tylko ulec zaciemnieniu.

Należy wobec tego krótko wyjaśnić, jak się obecnie przedstawia

ORGANIZACJA TYCH STUDJÓW

W porównaniu z okresem przedwojennym zaszła jedna zasadnicza zmiana. Studenta obowiązują tzw. egzaminy magisterskie. W okresie czterech (zasadniczo!) lat studjów, polonista winien zdać osiem takich egzaminów (plus końcowy egzamin pisemny), które obejmują: 1) dział gramatyk, 2) historję literatury polskiej i 3) przedmioty pomocnicze.

W dziale pierwszym obowiązują trzy egzaminy magisterskie: z gramatyki opisowej staro - cerkiewno - słowiańskiej, z gramatyki opisowej polskiej i z gramatyki historycznej języka polskiego, wraz z djalektyką.

W dziale drugim (a więc zasadniczym dla polonisty) obowiązują dwa egzaminy z historji literatury polskiej, przyczem pierwszy (tzw. „mały literacki") obejmuje — prócz historji lit. w zakresie gimnazjalnym — poetykę i stylistykę, drugi zaś dokładną znajomość hist. literatury i pogłębienie jednej z jej epok.

Dział trzeci zawiera egzaminy 1) z historji Polski 2) z filozofji (plus logika i psychologja, 3) z jednej literatury obcej.

Pobieżna choćby analiza przytoczonego wyliczenia egzaminów magisterskich, jakie zdaje student polonistyki dowodzi, że w programie studjów polonistycznych językoznawstwo zajmuje pozycję uprzywilejowaną — i to o tyle bardziej, iż prócz trzech egzaminów obowiązują polonistę ćwiczenia, seminarja, prace pisemne i wykłady językoznawcze. Ten szeroki program studjów językoznawczych wymaga dwóch lat solidnej pracy. A przecież w okresie tych dwóch lat trzeba równocześnie uczęszczać na ćwiczenia i seminarjum (niższe) literackie napisać odpowiednie prace i uczęszczać na odpowiednie wykłady z literatury, aby w czterech latach ukończyć studja!

Tak więc polonista na pogłębienie studjów literackich, a zatem istotnego przedmiotu swoich zainteresowań, oraz na zdobycie potrzebnych do egzaminu wiadomości z przedmiotów pomocniczych, ma zaledwie dwa lata!

Dodać ponadto należy, iż ścisłe uzależnienie studjów literackich od językoznawczych idzie aż tak daleko, że student, który nie zdał egzaminu z gramatyki historycznej, nie może być przyjęty na wyższe seminarjum literackie.

INNE WADY DOTYCHCZASOWEGO PROGRAMU

Uprzywilejowanie językoznawstwa w programie studjów polonistycznych jest tem jaskrawsze, że nie uwzględnia on należycie przedmiotów pomocniczych. Tu trzeba całkowicie zgodzić się z uwagą prof. Kołaczkowskiego, że podobnie jak rolnictwo bez gleboznawstwa chemji, botaniki i t.d., jak medycyna bez anatomji, fizjologji, fizyki, chemji byłyby niczem — tak samo i czysto „literacka" nauka o literaturze jest fikcją. Literatura musi — pod groźą wyjałowienia i degeneracji — czerpać pojęcia ogólne i problematy z innych nauk, a więc z filozofji, psychologji, estetyki, socjologji i td. Niestety, program studjów polonistycznych nietylko, że nie uwzględnia tego postulatu w koniecznym stopniu, ale pomija nawet tak zasadniczą i organicznie z nauką o literaturze związaną gałąź wiedzy, jak historja kultury (której etykieta tylko widnieje oficjalnie w tytule egzaminu z historji Polski).

I jeszcze jedno, o czem prof. Kołaczkowski wspomniał tylko. Chodzi mianowicie o wadliwą metodę podawania poloniście wiedzy. Dotychczas punkt ciężkości nauczania spoczywa na wykładach na które student uczęszcza lub nie. Zależy to od jego pilności, humoru, sercowego interesu („randka") itd. — oraz od wymagań profesora. W najlepszym razie (t. zn. jeżeli student jest pilny) system wykładowy sprzyja biernemu przyjmowaniu wiedzy.

Nic więcej. A to, rzecz jasna, nie wystarcza.

PLAN REFORMY STUDJÓW POLONISTYCZNYCH

Mając na uwadze wymienione (i niewymienione dotąd) wady programu studjów polonistycznych, przedyskutowaliśmy je naprzód w lwowskiem Kole Polonistów Studentów U. J. K., a wyniki dyskusji ujęliśmy w szereg konkretnych wniosków, mających na celu reformę istniejącego stanu. Wnioski te zaaprobował Kurator Koła, Prof. Juljusz Kleiner, i zkolei w dniu 2 listopada 1930 roku stały się one przedmiotem obrad komisji organizacyjnej IV Zjazdu Kół Pol. w Krakowie, a w dniu 3. 11. zostały uchwalone jako wnioski ogółu studentów - polonistów. Dodać przytem należy, że w obradach nad tą sprawą brali udział Prof. Nitsch i Prof. Kołaczkowski.

W przedłożonym Ministerstwu WR i OP oraz Senatom wszystkich Wyższych Uczelni wnioski nasze brzmiały następująco:

I) Celem przeprowadzenia selekcji studentów należy: a) wprowadzić kolokwjum wstępne dla kandydatów do proseminarjum literackiego i b) żądać od nowowstępujących na polonistykę wykazania się znajomością jednego z języków obcych. (Termin tego ostatniego wymagania można przesunąć na koniec I. r. studjów — przyp. autora).

II.) W programie studjów polonistycznych uwzględnić należy w szerszym, niż dotąd zakresie, historję kultury.

III) Należy połączyć egzamin z historji literatury (tzw. „mały literacki") z końcowym egzaminem z literatury w jeden egzamin. Miejsce pierwszego egzaminu winno zająć kolokwjum z hist. literatury polskiej z uwzględnieniem materjału ćwiczeń proseminaryjnych.

IV.) Egzamin z gramatyki opisowej języka staro cerkiewno - słowiańskiego należy połączyć w jeden egzamin z gramatyką opisową języka polskiego.

V) Należy zwiększyć ilość ćwiczeń proseminaryjnych, przy równoczesnem proporcjonalnem zmniejszeniu godzin wykładowych, — a to w celu przeniesienia punktu ciężkości studjów z wykładów na ćwiczenia, które a) dają możność poznania studenta przez profesora, b) skłaniają studenta do czynnego udziału w pracy, podczas gdy system wykładowy sprzyja biernemu tylko przyjmowaniu wiedzy.

VI.) Przeprowadzić należy reformę w dotychczasowym systemie prowadzenia seminarjów, zmierzającą do zogniskowania dyskusji na jednym temacie, który — podzielony uprzednio na szereg szczegółowych zagadnień — zostałby opracowany przez wszystkich członków seminarjum. Reforma ta ma zapobiec biernemu przysłuchiwaniu się referatom seminaryjnym, opracowywanym dotąd przez każdego studenta na inny temat, co poprostu uniemożliwiało reszcie seminarzystów należyte przygotowanie się do dyskusji.

VII.) Ściślej, niż dotąd, należy przestrzegać, począwszy od trzeciego roku studjów, specjalizacji studenta, polegającej na wyborze: bądź szerzej pojętej historji literatury i socjologji, bądź nauki o literaturze i estetyki, bądź filozofji i psychologji, itd. — pogłębienie bowiem studjów bez pewnego ograniczenia specjalizacji nie jest w zasadzie osiągalne.

VIII.) Usunąć należy z dotychczasowego programu egzaminów restrykcję, polegającą na tem, że przyjęcie na wyższe seminarjum literackie uzależnia się od uprzedniego złożenia egzaminu z gramatyki historycznej języka polskiego.

CZTERY LATA MINEŁY...

Przytoczony projekt, który pozytywnie załatwia sprawę reformy studjów polonistycz., można uzupełnić tym lub owym szczegółem, w zasadzie jednak nie wymaga on większych zmian. Zresztą powinni się co do tego wypowiedzieć aktywni poloniści (profesorowie i studenci), którzy muszą kuć żelazo, póki gorące.

Trudno, oczywiście przewidzieć, jaki będzie efekt tej wznowionej po czterech latach dyskusji. Głębie biurek „czynników oficjalnych" są przepaściste...

WŁADYSŁAW PAŃCZAK

P. S. W dotychczasowej dyskusji na uwagę zasługują głosy Prof. Kleinera i Kaden - Bandrowskiego. Omówimy je innym razem.

Oszczepem, strzelbą i piórem

Wśród współczesnego bractwa św. Huberta słychać narzekania, że polowania w tym roku nie dopisały. Zające wytępiła motylica, dziki dla braku śniegu, na „czarnej stopie" otropić trudno, jednem słowem myśliwym nie dobrze się wiedzie. A starsi myśliwi dodają, że wogóle teraz nie to, co „dawniej" I zwierzyny coraz mniej i coraz większy brak prawdziwych myśliwych, chociaż polujących jest coraz więcej.

Takie narzekania to jednak nic nowego. Już bowiem w 17-tym wieku skarżono się, że „za Króla Kazimierza było dużo zwierza, a dopiero teraz niema". Miała bowiem Polska swój złoty wiek myślistwa, wtedy gdy:

Puszcza szumiała od ptactwa i zwierza
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza.

W owych to dawnych czasach i przez cały szereg wieków później, zwierzyna była jednem z bogactw kraju. Według Długosza karmiono zdobyczą myśliwych całe drużyny rycerskie, a solona lub wędzona zwierzyna płynęła okrętami na handel zamorski. Przed każdą większą wyprawą wojenną król zarządzał wielkie łowy na grubszą zwierzynę. Zabijano wówczas setki żubrów, turów i jeleni i solono ich mięso. Tak uczynił Król Władysław Jagiełło przed bitwą pod Grunwaldem, a później Stefan Batory, gdy na Moskwę się wyprawiał. Oczywiście polowano jedynie na grubszą zwierzynę i ta tradycja myśliwska przetrwała przez długie lata. Nawet Wojski w „Panu Tadeuszu" mówi, że jeszcze za jego czasów

... w języku strzeleckim
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk zwany był zwierzem szlacheckim.
A zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów.
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów.

Tenże sam Wojski wspominając o sławnym myśliwym „starej daty", wojewodzie Niesiołowskim, mówi:

Od lat tylu siedzi, jak mnich na swym dworze
Nikt go na polowanie zaprosić nie może.
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na naszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby pan taki,
Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraki!

Jest w tem jednak pewna przesada. Nawet bowiem tak wielki myśliwy jak król Stefan Batory, w czasie wyprawy na Połock i Psków, kierując osobiście ruchami wojsk, nie miał czasu na większe łowy, codzień jednak o wschodzie słońca wyjeżdżał na zające, chcąc przynajmniej tem marnem polowaniem zaspokoić swą żyłkę myśliwską. Zaś Władysław IV również zapalony myśliwy, będąc chory na nogi i nie mogąc się ruszać, kazał sie wozić do zwierzyńca Ujazdowskiego pod Warszawą i tam strzelał do królików, nie mając innego zwierza pod ręką.

Były to jednak wyjątkowe wypadki. Na ogół, w dawnej Polsce polowanie z flintą na szaraki i ptactwo pozostawiano białogłowom, które już wówczas nie gardziły rzemiosłem łowieckiem, a szlachcic jeżeli już polował na tak marną zwierzynę, to jedynie z chartami lub sokołami Czasem jednak i białogłowa potrafiła dotrzymać placu rycerzom w łowach na grubszego zwierza. Exemplum choćby taka Jagienka, o której pisze Sienkiewicz w „Krzyżakach": „Na szybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku dziewczyna z kuszą w ręku i oszczepem na ulecach. Polowały nawet królowe. W łowach na żubry towarzyszyła zawsze swemu mężowi królowi Augustowi III jego małżonka. Zasiadała na wywyższeniu w ogrodzeniu, do którego napędzano żubry i jak pisze baron Brinsken, jeden z zaproszonych przez króla gości:

„Królowa podczas całego polowania zajęta była czytaniem książki i tylko jakby od niechcenia strzelała od czasu do czasu, nie chybiając nigdy. W ten sposób zabiła 20 żubrów."

Naturalnie takiego ułatwionego polowania, bardzo zbliżonego do dzisiejszych polowań z „ambony", nie można porównywać z dziarskiemi wyczynami Jagienki Były to też wówczas czasy pewnej dekadencji rycerskiej tężyzny.

Niewątpliwie bowiem ta rycerska fantazja stała się jednym z powodów rozpowszechnienia się łowiectwa w dawnej Polsce, a zamiłowanie Polaków w niebezpieczeństwie dodawało uroku polowaniom. Minęły prędko te czasy gdy polowano jedynie dla korzyści, dla zdobycia mięsa, cennego futra, lub też dla samoobrony przed drapieżcami. Łowiectwo stało się stopniowo szlachetnem rzemiosłem rycerskiem i przywilejem wyłącznym szlachty, stało się, jakbyśmy dziś powiedzieli, „sportem". W ślad za tem poszło dość wczesne wydanie rozmaitych przepisów, ograniczających prawo polowań do pewnych terminów. Prawa takie wydał już Władysław Jagiełło w roku 1420, zastrzegając, iż polować wolno jedynie w czasie od św. Bartłomieja (24 sierpnia) do św. Wojciecha (22 kwietnia). Przyznać jednak trzeba że do tych przepisów szlachta polska niebardzo się stosowała i nie trzymała się terminów

Osobista odwaga, siła i rycerska tężyzna były w przeciwieństwie do dzisiejszych czasów nieodzownemi warunkami dobrego myśliwego. Jako bronią w łowach na grubego zwierza posługiwano się zrazu wyłącznie oszczepem lub też kuszą, rodzajem łuku na drewnianej ramie, napinanego korbą Broń palna na łowach weszła dość późno w użycie. Z taką to prymitywną bronią polowano na potężne tury, żubry, niedźwiedzie, dziki, łosie lub jelenie.

O niebezpieczeństwie takich łowów wspomina Długosz, który opisując pewne polowanie na żubry w puszczach Usedomskich, tak pisze:

„Książę Bolesław, ubiwszy wiele zwierząt, żubra jednego rzadkiej wielkości i dzikości, poruszył z kniei, w której się ukrywał. Bestja, uchodząc przed szczekaniem psów i oszczepami rycerstwa, wyrwała się spomiędzy wszystkich zasadzek i przypadkiem wpadła na cześnika Sieciecha. Ten za rzecz sromotną uznawszy uciekać lub kryć się wobec Księcia Bolesława i innych patrzących towarzyszów, zeskoczywszy z konia, oszczepem dzielnie przyjął bestję. Lecz gdy żelazem bez skutku uderzył, padł na ziemię, aby wściekłości bestji tem leżeniem uniknąć. Ale żubr, który wedle swej natury i obyczaju leżących najuporczywiej napastuje. Sieciecha naprzód racicami, potem rogami ugodził i w powietrze wysoko wyrzucił, jakby jaką piłkę wielokrotnie rzucał, nakoniec w krzaki i ciernie potłuczonego i nawpół żywego cisnął.

Polska, kraj tak bardzo rycerski, słynęła z wielu dzielnych myśliwych wśród których było i kilku królów. Oprócz wspomnianego już Bolesława Krzywoustego zamiłowanym myśliwym był również Kazimierz Wielki. Pośrednio polowanie stało się też przyczyną jego zgonu. W pościgu za jeleniem spadł bowiem z konia i zadał sobie ranę w nogę, w następstwie czego wywiązała się gorączka spowodowana zakażeniem. W dwa miesiące po tym wypadku król Kazimierz zakończył życie. Śmiercią myśliwego zmarł również król Stefan Batory. Podczas łowów w okolicy Grodna miał otwartą ranę na nodze, a zimno i zmęczenie na łowach rozjątrzyło ją i sprowadziło gorączkę z powodu której król zmarł w kilka dni. W łowach kochał się król Władysław Jagiełło, woląc bawić na Litwie, gdzie było więcej zwierzyny niż w Koronie. Polowali również Władysław IV, Jan Kazimierz, Sobieski, obaj Sasowie.

Znakomitych myśliwych, nie ukoronowanych, miała Polska bardzo wielu, aż do ostatnich czasów. Stwierdza to Wojski w „Panu Tadeuszu", mówiąc:

„Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych,
Bo znałem większych dawniej, niżli wy, myśliwych.
Gdzie jest dziś taki strzelec, jak szlachcic Żegota,
Co kulą z pistoletu w biegu trafiał kota?
Terajewicza znałem, a idąc na dziki,
Nie brał nigdy innego oręża, prócz piki,
Budzewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!

Zapewne z jeszcze większą goryczą mówiłby Wojski o dzisiejszych czasach i o współczesnych myśliwych, którym — z nielicznymi wyjątkami — zależy przeważnie na zdobyciu rekordów strzeleckich.

Żyłka myśliwska Polaków znalazła dość bogate odbicie w literaturze, poczawszy od najdawniejszych czasów, a skończywszy na dobie obecnej. Prócz dawnego oszczepu i późniejszej strzelby zmobilizowano również w tych rycerskich zapasach i pióro. Już historyk Długosz opisuje nieraz w swych kronikach sceny myśliwskie, bardzo barwnie i z dużą znajomością rzeczy. Jakób Haur, pisarz z drugiej połowy 17-ego wieku, podaje w swej „Ekonomice ziemiańskiej" rozmaite rady dla myśliwych. Pisze mianowicie o trzech pożytkach myślistwa:

„Pierwszy, że zdrowia dodaje, z głowy wypędza melancholję, czerstwym czyni. Drugi pożytek że zwierzynę dla spiżarni i skór przysposabia. Trzeci że wilka szkodliwego nietylko myśliwska trąba, ale także charcia pogoń daleko od dziedzińca wystrasza."

Ostroróg pisarz 17-tego również wieku tak ocenia myślistwo w swej książce pt. „Myślistwa z ogary":

„Nie trzeba mieć myślistwa za lada co, zawdy to uczciwa zabawka między rycerskie zabawki".

Jest to pierwsze fachowe dzieło, poświęcone łowiectwu.

O łowach pisał Marcin Bielski, poeta Tomasz Bielawski, który w kilka lat po śmierci Batorego napisał poemat, królowi poświęcony pt. Myśliwiec". Maciej Sarbiewski, opisując wierszami łowy Władysława IV, Konowicz. Morsztyn i wielu innych poetów. Nieocenioną dla myśliwego wartość przedstawiają „Pamiętniki" Paska.

W najnowszych dopiero czasach literatura „myśliwska" osiągnęła najwyższe szczyty doskonałości i rozpowszechniła się zadziwiająco. Są to prace bądź czysto fachowe bądź też beletrystyczne. W niektórych opisy łowów występują często tylko epizodycznie jak np. w „Krzyżakach", wprost niezrównany opis łowów na tura i niedźwiedzia. Wspaniałe również opisy takich polowań na niedźwiedzia z flintą w pojedynkę dał nam Witkiewicz w „Na przełęczy", oraz Adolf Dygasiński, wyborny znawca życia zwierząt, w „Godach życia".

Najlepszą polską powieścią, par excelence „łowiecka" o bardzo wysokiej wartości artystycznej jest niewątpliwie „Soból i Panna" Weyssenhoff. Wybitną wartość literacką posiadają i miłe są każdemu kochającemu przyrodę i łowiectwo książki przedwcześnie zmarłego Juljusza Eysmonda, rasowego myśliwego i utalentowanego pisarza. Obok tych dwóch asów polskiej literatury łowieckiej, posiadamy całe mnóstwo nemrodów opisujących barwnie swe przeżycia myśliwskie. Wśród nich wymienić należy Dyakowskiego, Korsaka, Pełczyńskiego, Rzewuskiego, Sapiehę, Giżyckiego, Badeniego. Polującym literatem i podobno niezrównanym strzelcem, co to już z niejednym lwem w życiu się spotkał, i każdego krokodyla na sto metrów w oko trafia, jest wreszcie i Ferdynand Ossendowski.

Jest rzeczą ciekawą, że wszystkie te książki myśliwskie, mają nawet w dzisiejszych tak ciężkich dla wydawców czasach, dość powodzenie i zbyt. Czyżby to była tą tradycyjna i tak bardzo rozpowszechniona polska żyłka myśliwska? Już bowiem Klonowicz we „Flisie" wspomina:

„Gdy raz myśliwskiej polewki zakusi,
Już ten językiem ich mówić musi".

H. ŁUBIEŃSKI

Ilość więźniów w Hiszpanji

Jak wiadomo, Hiszpanja przeszła pod koniec roku zeszłego potworną krwawą rewolucję, w której przewrotowcy i zwolennicy rządu mordowali się wzajemnie, czasem nawet z wyrafinowanem okrucieństwem. W związku z tem nastąpiły represje i zapełniły się więzienia. Gazety ogłaszają interesującą statystykę. Liczba więźniów wynosiła z początkiem r. 1934 11 tysięcy. W przeddzień wybuchu wzrosła już była do 16 tysięcy, a po kilku dniach wojny domowej podwoiła się prawie, osiągając cyfrę 16 tysięcy.

Hiszpanja ma 21½ miljona mieszkańców, Polska 32 miljonów. Niechże teraz ktoś odpowie na pytanie, dlaczego w chwili obecnej jest w niej aż 52 tysięcy więźniów — bez żadnej rewolucji (dzięki czemu do porównania nadawałaby się właściwie cyfra 16 tysięcy).

Jak zające wędrują

Podczas wielkiego polowania w Babolnapusztu w południowych Węgrzech zastrzelono zająca, który miał przytwierdzoną do ucha małą metalową tabliczkę. Na jej podstawie stwierdzono, że należał on do transportu żywej zwierzyny, wysłanej w r. 1931 z Węgier do Niemiec dla podniesienia tam zwierzostanu. Wypuszczono go na wolność w okolicy Berlina. Lecz szarak widocznie źle czuł się w Prusiech i tęsknił do kraju, w którym się urodził. Ażeby dostać się do niego z powrotem, musiał przebyć szereg rzek, szczególnie Dunaj (zapewne przeprawił się w zimie po lodzie), jedno wysokie pasmo górskie i terytorjum trzech państw. W ciągu niecałych czterech lat odbył tę wędrówkę.

Śmierć Napoleona

W związku z zamieszczonym w poprzednim dodatku artykułem „Na wyspie św. Heleny" dajemy jeszcze jedną, świeżo ogłoszoną relację o zgonie Napoleona.

Tysiące tomów spisano o Napoleonie, wyszukano i wydano tysiące dokumentów, odnoszących się do niego, a przecie jeszcze wciąż wychodzą na światło dzienne nowe, cenne przyczynki. Listy cesarza do Marji Ludwiki sprzedano w grudniu w Londynie za 15 tysięcy funtów. W tymże miesiącu ogłosił „Sunday Times" list szkockiego oficera, który z 20 pułkiem piechoty należał do załogi wyspy św. Heleny w chwili zgonu wielkiego człowieka. Pisząc do matki, opisał on wszystkie wrażenia i spostrzeżenia, związane z tym tragicznym wypadkiem. W relacji swej nazywa cesarza raz jenerałem B. (w użyciu rodowego nazwiska, nakazanem przez władze angielskie, przebija się tendencja poniżenia więźnia), raz Napoleonem (skracając imię na Nap), ale w liście przebija się cześć dla genjusza i głębokie wzruszenie wobec jego tragedji.

W ostatnich dniach kwietnia 1821 lekarze uznali stan cesarza za beznadziejny i natychmiast wysłano do Anglji okręt z wiadomością. Pośpiech był taki, że porucznik Duncan Darroch nie miał czasu napisać listu, powetował to sobie dopiero, gdy wyprawiono drugi okręt z wieścią o śmierci Napoleona.

Od wieczora 2 maja leżał on nie przytomny. 3-ego członkowie rady zarządzającej wyspą otrzymali rozkaz, aby byli każdej chwili gotowi udać się do Longwood i być świadkami skona nia cesarza. Musiało przecież zależeć Anglji i całemu św. przymierzu, aby śmierć była stwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Mógł zjawić się jakiś samozwaniec, zresztą sama legenda, że wielki wódz żyje, mogła doprowadzić do niebezpiecznych zawikłań.

Rano tego dnia cesarz odzyskał przytomność i poznawał obecnych, ale wkrótce znów wrócił do dawnego stanu. Kończyny zaczęły ziębnąć. O 11 godzinie 5 maja dano admirałowi statku wojennego, przygotowanego do podróży, sygnał, że rozpoczęła się agonja. Na 10 minut przed 6-tą, w chwili, gdy zachodziło słońce, nastąpił koniec. Natychmiast zgromadziły się urzędowe osoby — gubernator, sztab angielski, komisarze rządu francuskiego. Pokój obito kirem, zaczęły się też poszukiwania za plastelina paryska dla zrobienia maski pośmiertnej. Podobno nie było jej dosyć na wyspie i musiano użyć cementu rzymskiego. W rozkazie dziennym ogłoszono, że Napoleon umarł, że pogrzeb odbędzie się z honorami wojskowemi pod kierownictwem jenerała Montholon, a ciało będzie można przedtem oglądać.

Towarzystwo oficerów angielskich, wybierających się na to nawiedzenie, zebrało się następnego dnia już o godz. 4-ej. W pierwszym pokoju zastano tylko paru służących, w drugim, w którym umarł cesarz, hrabinę Bertrand, bladą, widocznie osłabioną i z czerwonemi powiekami. Mówiła, że nie spała 6 dni i 6 nocy że nie ma sobie nic do wyrzucenia, ponieważ choroba była nieuleczalna że wreszcie klimat wyspy nie wywarł tu żadnego wpływu, ponieważ Napoleon umarł na raka w żołądku — na to samo, co jego ojciec.

Hrabina była bardzo grzeczna dla oficerów angielskich. Trzeba jednak powiedzieć, że klimat mógł przyczynić się do choroby i jej szybkich postępów Był on tak niezdrowy, że po śmierci cesarza część wyspy, którą zajmował, pozostała niezamieszkana, a domki, a raczej budki, które oficerowie pobudowali dla swej służby, stały się bezużyteczne, jak pisze porucznik Darroch. Straciły wartość i zapasy żywności, przygotowane przez kupców, a konie, kupione po 70 funtów, sprzedawano po 10.

W trzecim pokoju, w swej dawnej jadalni, leżał na żelaznem łóżku polowem — ściśle wedle swoich zarządzeń — „jenerał B." w pełnym mundurze, zielonym z czerwonemi wyłogami, w stosowanym kapeluszu, w wysokich butach z ostrogami i szpadą przy boku. Pierś zdobiły liczne ordery. W głowach stał jen. Bertrand w grubej żałobie, przy łóżku klęczał ksiądz, a służący oganiał muchy — on jeden był osobą, dającą znaki życia w tym przybytku śmierci.

Wyraz twarzy cesarza był spokojny i pogodny. Darroch stwierdza nawet, że widać w niej było odwagę i piękność. Zwrócił również uwagę na delikatność rąk. Kształtny nos Napoleona zadrapano przy układaniu ciała

„Widzieć człowieka" — mówi dalej porucznik, — „który tyle wywołał zamętu w Europie i wogóle na świecie leżącego w małej izdebce, w wojskowym uniformie i na polowem łóżku z dwoma tylko z jego jenerałów obecnymi — było to coś okropnego; tak mnie ten widok uderzył, że byłbym patrzył na niego godzinami, byłbym ujął jego dłoń i ucałował, lecz zaledwie śmiałem oddychać. Przyglądając się wyobrażałem go sobie w różnych sytuacjach, w których był — pod Lodi i pod Marengo" (pod Lodi, gdzie Napoleon pod piekielnym ogniem sam prowadził swą piechotę na słynny most, i pod Marengo, gdzie wygrał bitwę, która wyglądała już na zupełną klęskę) „I rzeczywiście, choć byłem może niecałych 10 minut w pokoju, więcej myśli tłoczyło się do mej głowy, wypychając jedna drugą z równą szybkością, jak się rodziły niż mogę dziś spisać".

Cesarza złożono w czterech trumnach — cynowej, ołowianej i dwóch drewnianych, ale ciało można było oglądać jeszcze 17 maja, kiedy porucznik Darroch był komendantem straży. Wszedł wtedy do pokoju i choć zapach był już zabijający, długo trzymał w ręku „dłoń, którą całowali królowie". Nigdy w życiu nie widział twarzy spokojniejszej i pogodniejszej — tylko policzki i usta nabrały sinej barwy, a rysy stężały.

Jeden z lekarzy pokazywał Darroch'owi żołądek i serce cesarza, złożone do srebrnej urny. W żołądku widniała dziura, która spowodowała śmierć. Była taka, że możnaby w nią było włożyć mały palec.

Serce i żołądek posłano do Europy. Resztę zwłok pochowano, wedle przedśmiertnego rozporządzenia Napoleona, w miejscu, zwanem „Djabelską Wazą Ponczową" Porucznik Darroch odszedł ze swym pułkiem do Indyj. List — i drugi opisujący szczegółowo pogrzeb, przechowywano w jego rodzie, aż dopiero obecnie pozwolono go wydrukować. Lecz porucznik postarał się i o relikwje wielkiego człowieka — kosmyk włosów i kawałek bandażu, zabarwionego krwią podczas sekcji. Co się z temi pamiątkami stało, „Sunday Times" nie podaje.

W. T.

Ród kecarzy

Stanley Lupino, potomek rodu dziedzicznych klaunów, napisał dzieje własne i swych prostoplastrów pod fascynującym tytułem „Od dyb do gwiazd". Genealogja sięga do czasów Elżbiety, kiedy pierwszy Lupino przywędrował do Anglji. Wylądował w Plymouth i poszedł piechotą do Londynu, niosąc na plecach małego synka, przywiązanego dobrze, aby mu nie upadł. Nie umiał jeszcze słowa po angielsku, ale prędko zaczął bawić widzów mieszaniną ich języka z własnym. Synek wyrósł już na Anglika. Przyszły jednak dla kecarzy złe czasy. Purytanie usiłowali wykorzenić wszystko, co ludzi bawiło. Zamknięto teatry, a wędrownych wesołków ścigano, jak zbrodniarzy. Lupino II pokrotnie dostał się do więzienia za pobudzanie do śmiechu, siadywał też w dybach — była to bardzo rozpowszechniona kara wymierzana włóczęgom.

Lecz sławny ród klaunów miał we krwi swoje powołanie. Sztuki akrobatyczne, sposób wywoływania wesołości samym ub.orem i charakteryzacją, zapas kawałów przechodziły z Ojca na syna. Przyszedł wiek XIX, kiedy już nie ścigano Lupinów jako wagabundów i często udawało się im uzyskać engagement do jakiegoś teatrzyku, czasem w samym Londynie. Pozatem jednak włóczyli się po prowincji, często przymierając głodem. Zarobki ich nawet w dobrych czasach były skromne. Cała rodzina, złożona z 10 osób otrzymywała za swe występy tygodniowo 14 funtów. Dzieje George'a Lupino łączą się z Teatrem Królewskim Birmingham. Tam się urodził — ledwie nie na scenie. Matka miała czas schronić się do garderoby. Wiadomość o tych niekonwencjonalnych urodzinach rozeszła się po sali i publiczność zaczęła wołać: „Pokazać go!" Tym sposobem George wystąpił na scenie już w pierwszej godzinie swego klaunowowskiego żywota, czem chyba nie mógł pochlubić się nikt inny na świecie.

Był jednak moment, kiedy zrażony biedą, sprzeniewierzył się tradycji i osiadł na małem gospodarstwie. Nie mógł długo wytrzymać i z radością wrócił do dawnego zawodu. Licząc lat siedmdziesiąt trzy, wchodził w skład stałych pracowników Teatru Królewskiego w Birmingham. Pewnego wieczoru czuł się niedobrze, ale ze zwykłą werwą odbył swój występ. Po przyjściu do domu, dostał ataku apoplektycznego i umarł do kilku godzin.

Był to ojciec Stanley'a. Widocznie w rodzie była także tradycja przychodzenia na świat w niezwykłych miejscach. Pewnego dnia r. 1894 żona George'a Lupino wybrała się na sprawunki. Działo się to na ulicy, która wtedy nazywała się Petticoat Lane (Ulica Spodnic), lecz później została przechrzczona. Pani Lupino poczuła się niedobrze i wzięła fiakra, zanim jednak dojechała do mieszkania, już synek był na świecie.

Ciężkie miał dzieciństwo. Matkę stracił w szóstym roku życia, na drugi dzień po jej pogrzebie zabrano za długi całe urządzenie mieszkania. Wtedy to ojciec spróbował zostać rolnikiem. Ale nie wytrzymał. Był niestrudzony. Pewnego razu — w Teatrze Królewskim Birmingham — zdobył rekord światowy i wygrał zakład, robiąc jednym ciągiem 210 pirnetów. Co dziesiąty był podwójny, a muzyka zmęczyła się, grając popularną piosenkę, którą sobie George zadysponował. Zresztą towarzyszył jej śpiewem.

Lupinowie lubili także kawały. Brat Stanley'a Barry wynajął sobie taksówkę i kazał jej stanąć przy wejściu do teatru, poczem wskoczył do niej z okna. Kuzyn jego Lupino Lane wywrócił w ciągu czterech minut 300 koziołków — bez żadnego zakładu, tylko dlatego, że ktoś powątpiewał, ażeby to potrafił. Sam Stanley mówi, że nieraz mało sobie nie połamał kości, ćwicząc się w sztukach akrobatycznych, ale „doprowadza zakłady pogrzebowe i spółki ubezpieczeniowe do rozpaczy". A pokazywać sztuki trzeba było czasem i dwanaście razy na dzień.

Pewnego razu przed Kennington Theatre zajechała dorożka, z której wysiadł znany komik Dn Leno. Z nbożeństwem przyglądało mu się kilku małych obszarpańców. Artysta uległ nagłej fantazji i rzucił jednemu z nich pół korony. Obdarowanym był Stanley Lupino, który odtąd uwielbiał swego dobrodzieja. Przypomniał mu owa hojność, gdy występował z nim razem Stanly wogóle jako dziecko lubił wystawać pod teatrami. Pewnego razu kręcił się koło wejścia na scenę Gaiety Thetare, a zobaczywszy afisz z nazwiskami kilku znanych artystów i artystek, dopisał na nim niezgrabnemi kulasami: „Stanley Lupino". Zobaczył to stary portjer Gupp, skrzyczał malca i odpędził. Stanley występował później w Gaiety, ale nic nie mówił. Dopiero gdy nazwisko jego figurowało na pierwszem miejscu afisza, odezwał się raz: „A wie pan, Gupp, że mnie man raz odpędził z pod teatru?" Gupp „omal nie spadł z krzesła".

Brat Stanley'a Marek był przed wojną znanym komikiem. Wzięto go do wojska. Pewnego razu granat roztrzaskał jego motocykl na kawałki, ale Markowi nic się nie stało. „Mój Boże", zawołał on, podnosząc się z ziemi „i niema tu widzów, coby klaskali!" Niestety wkrótce potem dzielny komik doznał zatrucia gazem — i stracił głos. Gdy wystąpił w Londynie, słyszano go — mimo strasznych wysiłków — jedynie w pierwszych rzędach. Po tem fiascu nie mógł już dostać engagement. Naprożno chodził po różnych agencjach i dyrekcjach. Przyszedł raz do teatrzyku, który niegdyś płacił mu ogromną gażę. I tu usłyszał stereotypowe słowa „U nas przepełnienie". — „Dobrze, będę występował jako tenor w Queen's Hall" (tj. w jednej z największych sal londyńskich).

Dyrektor Drury Cane, Artus Collus, był dobrodusznym człowiekiem, ale miewał dni złego humoru, gdy go dręczył artretyzm. Zresztą odrazu można było poznać po minie, że będzie burza. Odbywała się raz próba na scenie. Widząc Stanley'a Lupino w długim płaszczu, dyrektor zgniewał się: „Proszę zrzucić ten przeklęty płaszcz, przyjść bliżej i ruszać się". Klaun przystąpił do Colliusa i pokazał mu, że pod płaszczem ma tylko podartą bieliznę. Dyrektor wyrwał z notatnika kartkę papieru, napisał na niej coś i podał Stanley'owi, mówiąc: „Pokaż mi się wieczorem, mój chłopcze". Kartka była zaadresowana do znanego krawca i zawierała prócz podpisu lakoniczne słowa „Dwa garnitury, palto, wszystko, czego mu będzie potrzeba".

Lupino i drugi znany klaun, Wil Evan, występował w jakiejś pantominie i autor przyszedł do Calliusa ze skargą, że nie umieją ról. „No mam nadzieję", odparł dyrektor, „to całe pańskie szczęście". Umieli bowiem obaj swemi kawałami, nieraz improwizowanemi, ożywić rzeczą słabą i zapewnić jej powodzenie.

Lupino występował raz w Drury Lane jako Buttons (od widocznych guzików na kostiumie). Skarżył się komicznym tonem, że go nikt nie kocha. „Ależ ja cię kocham, Buttons" zawołała jakaś mała dziewczynka z loży.

Córka Stanley'a jest artystka filmową i spodziewa się zostać gwiazdą. Stąd druga część tytułu jego książki.

A. E.

Alma Mater Leopoliensis

Jan Kazimierz z Bożej łaski król... Na wieczną rzeczy pamięć i dla wiadomości potomnych oznajmiamy: Królestw i królów szczęśliwość, o ile nie podniosła się w zawiązkach i rozwoju, tyleż zawdzięcza mądrości. Nie mogą bowiem władcy i narody niczego poczynać lub dalej prowadzić z pomyślnością, jeżeli nie czynią tego przezornie. Co większa nie można podeprzeć i utwierdzić stanu państw, bez siły rozwagi. To też tem bardziej słuszną jest rzeczą, aby ci, którzykolwiek wyznaczeni do rządzenia, kierują sprawami publicznemi, pielęgnowali nauki, mistrzynie wykształcenia i rodzicielki, a zarazem karmicielki wszelkiej wiedzy wykwintniejszej...

(Wyjątek z aktu erekcyjnego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie z r. 1661).

Dnia 20 stycznia 1661 r., ukazał się akt erekcyjny króla Jana Kazimierza, mocą którego lwowskie Kollegjum OO. Jezuitów podniesione zostało do godności Uniwersytetu. Akt erekcyjny Uniwersytetu Jana Kazimierza został wpisany do ksiąg Metryki Koronnej, jednakowoż Ojcowie Jezuici, przez sto lat nie korzystali z łaski królewskiej i nie używali tytułu akademji oraz nie nadawali stopni doktorskich. Działo się to naskutek protestu Akademji Jagiellońskiej i zamojskiej, a zwłaszcza nie uzyskania aprobaty ze strony Kurji Apostolskiej. Pozatem stanowisko sejmu, w stosunku do nowej Akademji było nieprzychylne.

Dziś, gdy mija 274 lat od chwili podniesienia Kolegjum Jezuickiego we Lwowie do godności uniwersytetu, nie od rzeczy będzie, rzucić garść faktów z przeszłości tej almae Matris Leopolitanae, jednej z najbardziej umiłowanych wyższych uczelni w Polsce. A dzieje Uniwersytetu Jana Kazimierza, to barwny kalejdoskop chwil wzniosłych i smutnych — to wstęga, na której wypisane są nazwiska świetlanych postaci polskich uczonych, że wymienię tylko takie — z okresu upadku nauki w całym kraju, z czasów najgorszych — jak Gabriela Rzączyńskiego, Gródzickiego, Teeofila Rutki, Kaspra Niesieckiego, Grzegorzą Piramowicza i in.

Akt erekcyjny Uniwersyteetu lwowskiego obejmował rozszerzenie nauk nie objętych filozofją i teologją, a więc naukę prawa i medycynę — „anatomję" — jak wówczas zwano, oraz uprawniał do nadawania stopni naukowych, jak: laureatów, magisterjatów, licencjatów i doktoratów. Pomimo tego, że dopiero w 1661 r. Kolegjum OO. Jezuitów podniesione zostało do stopnia akademji, wyższe studja istnieją we Lwowie zgóra 300 lat, bo wykłady św. teologji rozpoczęto już w 1559 roku, zaś pełny kurs filozofji rozpoczęto w 1613 r., które to wykłady trwały bez przerwy w Kolegjum Jezuickiem do roku 1773, a więc do chwili skasowania Zakonu OO. Jezuitów.

Rozszerzenie nauk w lwowskiem Kolegjum Jezuickiem, przez dodanie wykładów prawa i medycyny, nastąpiło w pierwszej połowie XVIII wieku. Sięgnijmy do dzieła ks. Stanisława Załęskiego „Jezuici w Polsce": w IV tomie tego dzieła na stronie 621, czytamy, że od r. 1661 do r. 1773 „wykładano w szkołach lwowskich te same nauki, co w akademji wileńskiej". Toteż pierwsze dwa wieki studjów uniwersyteckich we Lwowie, wydały owocny plon w postaci dzieł naukowych, wyżej wspomnianych profesorów Uniwersytetu lwowskiego, jak wiele dzieł prof. Rutki w obronie unji, opis przyrody Polski i Litwy Rzączyńskiego, Grodzickiego dzieło o sztuce wojennej, Niesieckiego „Korona Polska" i in.

Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, przeszedł dwa ciężkie okresy, z których wyszedł jednak obronną ręką. Pierwszy okres, to czasy napaści Akademji Jagiellońskiej i zamojskiej, domagających się unieważnienia przywileju Jana Kazimierza, drugi okres, znacznie gorszy, to czasy niewoli, kiedy to w latach 1875—76 Wiedeń dążył do zwinięcia tej placówki nauki polskiej. Przetrwała lwowska Alma Mater wszystkie burze i gromy, jakie waliły się na nią w okresie wieków. Przetrwała ta kresowa warownia polskiej myśli i nauki i dziś obchodzi 274 rocznicę swego istnienia.

Nie tu miejsce, by opisywać dzieje tej uczelni. Kto ciekaw historji U. J. K., znajdzie ją w doskonałem dziele prof. Finkla i prof. Starzyńskiego St. p. t. „Historja Uniwersytetu lwowskiego". Chciałbym jednak z okazji tej 274 rocznicy — rocznicy cichej, obchodzonej tylko w murach



Ks. Antoni Betański, pierwszy rektor Uniwersytetu lwowskiego

samej uczelni, przytoczyć wyjątki z aktu erekcyjnego, zamieszczonego w Księdze pamiątkowej prof. Finkla, z okazji 250 rocznicy założenia U. J. K., celem zaznajomienia czytelników z pewnemi charakterystycznemi ustępami tego dyplomu.

Po wstępie, który przytoczyłem jako motto, zaznacza król Jan Kazimierz w swym dyplomie erekcyjnym, że także nasi świętej pamięci poprzednicy, książęta i królowie polscy, wśród tylu krwawych bojów i zamieszek, nie zaniedbywali łagodnych i pokojowych Muz. Tak samo miłowali Palladę, odzianą w togę, jak i płaszcz wojenny, ten sam u nich duch na arenie bojowej i w palestrze. Przypuszczona i wpuszczona pod samo wprowadzenie Wiary Katolickiej i Królewskiej Korony sowa Minerwy rozsiadła się na gnieździe Lechickiego Orła, kiedy żądna wiedzy prostoduszność książąt i dostojników już w czasach dawniejszych, niż władza królewska otworzyła Gimnazjum Gnieźnieńskie. Następnie, wypływające przez kilka wieków korzyści i obfite owoce wywołały u wielu tem większe pragnienie lepszego wykształcenia, im poważniejsza była nagroda..."

Następnie powołując się na zasługi swoich przodków wylicza król Jan Kazimierz wszystkie te uczelnie, jakie dzięki im powstały. Po tem wyliczeniu, następuje bardzo ciekawy i charakterystyczny ustęp przywileju: „Gdy zaś bardzo wiele na tem zależy, aby także w ruskich prowincjach i okolicach wzniecić należną cześć pełnemu wyznaniu prawdy i cnoty, z łatwością i chętnie postanowiliśmy, aby, za naszem pozwoleniem, Kolegjum Lwowskiemu Towarzystwa Jezusowego przydana była godność akademji i udzielony tytuł Uniwersytetu. Dajemy zatem moc ustanawiania w tem Lwowskiem Towarzystwa Jezusowego Kolegjum Studjum Generalnego wszelakiej dozwolonej wiedzy: Teologji, tak scholastycznej jak moralnej, Filozofji, Matematyki, obojga Praw Medycyny i Sztuk wyzwolonych, oraz Nauk i Umiejętności bez wyjątku wszystkich, których wymienieni Ojcowie Towarzystwa Jezusowego uważać będą za odpowiednie nauczać sami lub przez innych, według swego zdania i postanowienia, według swego zwyczaju i praktyki Akademji i Uniwersytetów. I stanowimy, aby to trwało po wieczne czasy, pod nazwą Uniwersytetu, Akademji".

W dalszym ciągu zamieszczony jest w akcie erekcyjnym przywilej nadawania przez OO. Jezuitów wszystkich stopni naukowych, celem postawienia Uniwersytetu lwowskiego na poziomie i prawach Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wileńskiego. Następnie w uznaniu zasług pedagogicznych OO. Jezuitów, znanych i uznanych w całym świecie, akt erekcyjny oddaje zarząd i kierownictwo Uniwersytetu lwowskiego zupełnie w ręce „pobożnych Ojców Towarzystwa Jezusowego".

Wkońcu: „Przyrzekamy Naszem i Naszych Najjaśniejszych Następców imieniem, że My rzeczony Uniwersytet lwowski w tych wszystkich sprawach, które odnoszą się do jego całości, w powadze, sile i blasku zachowamy i bronić będziemy. Co również Najjaśniejsi Następcy Nasi po wieki spełniać będą powinni".

Następują podpisy, króla Jana Kazimierza i Stefana Hankiewicza — sekretarza królewskiego majestatu, oraz większa pieczęć Kancelarji Koronnej i data.

Tadeusz Kwaśniewski.

Giełda wodna

Wyspy Kanaryjskie czarują oczy Europejczyka niesłychanem bogactwem swej flory. Obok przepięknych kwiatów, obok krzewów szkarłatnych róż, ciągną się rozległe winnice plantacje bananów drzew migdałowych, tigowców, tytoniu, — rozrzucone na zboczach gór i dawno wygasłych wulkanów.

Jeden to olbrzymi ogród, — duma i źródło dochodu mieszkańców, — ale też i źródło nieustannych trosk, owoc niesłychanych wysiłków.

Bo na wyspach tych brakuje dwóch zasadniczych rzeczy: ziemi i wody Trzeba tedy było ziemię transportować okrętami, by pokryć nią nagie i nieurodzajne zbocza górskie.



Pejzaż z Wysp Kanaryjskich

I trzeba ją starannie uodlewać, prawie jak kwiaty w doniczce czy w skrzynce stojącej na balkonie.

A wody brakuje. Rzadkie, krótkotrwałe opady deszczowe, ani w przybliżeniu nie dają potrzebnej ilości wody. Więc szuka się tej upragnionej wody, wierci się studnie, rozprowadza się ją kanałami po całej wyspie.

Woda jest tam prawdziwą królową, jest skarbem, jest poprostu towarem, za który się drogo płaci.

Dzięki temu wyspy Kanaryjskie posiadają instytucję, której podobnej nie znajdzie nigdzie na świecie.

Jest to istniejąca w Arucas „giełda wodna" na której codziennie, o szóstej rano, ustala się „kurs" bieżący wody z dnia na dzień.

„Wielkim kapitalistą" czyli poprostu właścicielem tego niezwykłego towaru jest stowarzyszenie noszące nazwę „Heredad de Aguas de Arucas y Firgas".

Członkowie tego stowarzyszenia „herederos", to mieszkańcy, którzy drogą kupna czy spadku stali się współwłaścicielami wielkich rezerwoarów wodnych, zbierających wodę, sprowadzaną kanałami, nieraz z odległości 20 kilometrów.

I podobnie jak kapitał zakładowy każdej spółki akcyjnej podzielony jest na drobne akcje, — tak samo i ci udziałowcy „wodni" posiadają jedną lub więcej akcyj, zwanych „azada". Jedna taka azada reprezentuje dwunastą część ogólnej ilości wody mieszczącej się w rezerwoarze. I jak na giełdzie efektów akcje — tak samo i taka „azada" może stanowić przedmiot handlu, przyczem cena kupna jednej „azada" dochodzi nieraz do poważnej sumy 60 tysięcy pesetas.

Na giełdzie zawiera się jednak inne drobniejsze, codzienne transakcje. Przedewszystkiem ustala się co dnia cenę wody, — zależnie od zapotrzebowania, a więc od stanu pogody, i ilości opadów deszczowych. Cena ta dochodzi w latach posuchy do 5 pesetas za metr sześcienny

Po ustaleniu ceny zaczynają się właściwe transakcje, polegające na zakupnie pewnej określonej ściśle ilości wody, z dostawą o oznaczonej porze. Brzmi to trochę dziwnie, — ale w praktyce przedstawia się zupełnie prosto.

Główny zbiornik zaopatrzony jest w cały szereg śluz i urządzeń pomiarowych. Biegną od niego kanały mniejsze i większe, rozgałęziające się na wszystkie strony. Wystarczy zatem podniesienie odnośnej śluzy, by pewna ilość wody — ściśle odmierzona! — spłynęła do kanału, skąd znowu, zapomocą rozmieszczonych gęsto śluz, dostaje się na pola nabywcy.

• • •

Nie brak i tam spekulantów giełdowych. W miesiącach zimowych, a więc deszczowych, kiedy zapotrzebowanie



Główny zbiornik wody

na wodę jest małe a ceny niskie, — zakupuje się znaczniejsze ilości wody i magazynuje się ją w rezerwoarach, by w lecie odsprzedać z dużym zyskiem. Jest to zatem pewnego rodzaju „paskarstwo", na które pozwolić sobie mogą tylko zamożniejsi, rozporządzający gotówką i własnemi zbiornikami.

Samo stowarzyszenie korzysta też skwapliwie z takiej okazji, by powiększyć swój „kapitał zakładowy": każdy deszcz to dla niego prawdziwy „deszcz złota" bo woda, zbierana starannie w rezerwoarach, sprzedana zostanie w lecie na giełdzie.

Przedsiębiorstwo całe, oddawna już istniejące, prosperuje doskonale, — a udziałowcy „herederos" poświęcają corocznie duże sumy na odkrywanie nowych żył wodnych budowę kanałów i zbiorników.

(kr.)

Kultura po kropelce

Przyszło to nieoczekiwanie, bez szumnych zapowiedzi czy komunikatów.

Jakoś rok temu — ni stąd ni zowąd. — zdawało się, — codzień, w godzinach wieczornych, z tysięcy głośników rozsianych po całej Polsce zaczęły płynąć dziwne słowa.

Kilka czy kilkanaście zdań, nie mających absolutnie nic wspólnego z ustalonym programem audycyj, — wtrąconych gdzieś między „muzykę z płyt“, a „koncert orkiestdy P. R.“ czy tranmsisję z operetki.

Dziwna audycja, coprawda tylko trzyminutowa. „Złote myśli“, głębokie uwagi i sentencje o rzeczach niemal abstrakcyjnych. O życiu i śmierci, o wierze i religii, o charakterze, o rozumie, namiętnościach, o prawie i prawdzie, o miłości Ojczyzny, o narodzie, rodzinie i społeczności ludzkiej...

Krótkie cytaty z dzieł największych myśliciel ludzkości, podawane co dnia, bez komentarzy...

* * *

Nie wiem, jak inni... Przyznam się jednak, że ja osobiście — już po paru dniach — pilnowałem starannie tej godziny wieczornej, by złapać tę audycję. Co więcej, — przyznaję się, zasiadłem do niej z ołówkiem w ręku i napredce notowałem niektóre sentencje i aforyzmy, — wszystko jedno, czy autorem ich był Mickiewicz, czy Pascal, św. Augustyn, Skarga, Daroin, Hebbel czy d'Annunzio.

I naprawdę, pomysł wprowadzenia tych audycyj uważam za jeden z najszczęśliwszych, najbardziej potrzebnych!

Bo powiedzmy sobie szczerze: Czy przy dzisiejszem gorączkowem tempie życia pod znakiem ciężkiej walki o byt, mamy czas na jakiekolwiek poważniejsze rozmyślania? Czas i ochotę? Czy mamy czas poświęcić codzień choć parę minut dla siebie samego, dla owej „rozmowy z duszą“, jak mówili poeci?

A już chyba najmniej myślimy o tem, zasiadając wieczorem przy głośniku. Człowiek zmęczony całodzienną pracą szuka w radjo wytchnienia, lekkiej rozrywki, audycji wesołej, zapomnienia o swych troskach.

I nagle — stop! Oto padają z głośnika „myśli wybrane“. Takie nieraz proste, a takie głębokie prawdy życiowe, o których poprostu zapomnieliśmy. I mimowoli zmuszają do skupienia się, zastanowienia, przemyślenia...

* * *

Żaliła mi się kiedyś jedna ze znajomych pań: przygotowała się na zapowiedzianą transmisję „muzyki lekkiej“ (mieli nadawać jej ulubione tango!) — aż tu nagle... myśl wybrane! „Tusz zimnej wody“! — jak to określiła w pierwszym porywie... Ale już po paru dniach zmieniła zdanie. Zgodziła się ze mną, że to jednak nie tusz, lecz kropelki orzeźwiającej rosy. Przeczyste kropelki, lśniące barwami tęczy, a jakże potrzebne i zbawienne dla wyschniętej, jałowej gleby naszych umysłów!.

I jestem przekonany że padają one na grunt podatny, że prędzej czy później obudzą w duszach naszych — nie uśpione może, ale drzemiące wartości moralne. A będzie to najpiękniejszy plon, jakim Polskie Radio poszczycić się będzie mogło!

Niechaj te „myśli“ płyną na falach eteru do Pińska i Brześcia, do Łodzi i Katowic, do Torunia i Nowego Targu. Niechaj temi codziennemi kropelkami wsiąkają w dusze i serca tysiącznej rzeszy radiosłuchaczy, niosąc kulturę, kierując ich zainteresowania od szarej rzeczywistości, od stolika brydżowego czy dusznej sali dancingu w sfery wyższe, duchowe.

* * *

Obecnie, po roku, Polskie Radjo wydało zbiór tych myśli w osobnej, bardzo ładnie się prezentującej książeczce. Przypuszczam, że cały nakład rozejdzie się bardzo szybko, że książka ta znajdzie się zarówno na biurku uczonego czy przemysłowca, jak i w gabinecie pięknej pani. Bo prawdziwa to skarbnica mądrości ludzkiej, skondensowanej w krótkich aforyzmach, w paru zdaniach czy nawet w paru wierszach.

Wybór „myśli“ staranny i rozumny. Nie dziwota zresztą: opracował to dziełko autor „Monsalwatu“, Artur Górski!

Na zakończenie — kilka wyjątków:

„To co przez tyle pokoleń zabagniało, nie da się oczyścić przez fakt odbudowania państwa. Trzeba odbudować duszę narodu“. (R. Dmowski).

„Prawo jest duszą państwa, duszą prawa jest sumienie, a duszą sumienia bojaźń Boża“. (Demostenes).

„Aby kraj mógł żyć, trzeba aby żyły prawa“. (Mickiewicz).

„Religja w ciele Rzpltej jest jako serce zakryte i wnętrzne, z którego żywot wieczny pochodzi. Gdy wiara naruszona jest, — jako ranne serce, — prędko śmierć Rzpltej przywodzi“. (Skarga).

„Realizm i jego cele przemijają jak sen zwodniczy, a po chwili ludzie pytają: gdzie jego ślad?

„A to, co trzeźwi nazywają mrzonką, stawia gmachy i świątynie, które wieczność przetrwają“. (St. Szczepanowski).

Lucy.

Reportaż-tempo życia

Jednym z najmodniejszych obecnie w prasie sposobów informowania szerokiej publiczności o zdarzeniach chwili bieżącej — są **reportaże**. Są to w specjalnej — mało krępującej — formie podawane wiadomości — dłuższe lub krótsze — o najświeższych wypadkach o aktualnych zagadnieniach, o wszystkiem co może zaciekawić dzisiejszą — chciwą wszelkiej zmiany nowości, sensacji — publiczność czytającą liczne czasopisma, dzienniki itp. wydawnictwa.

Ten sobie właściwy typ — a więc reportaż — podawania pewnych wiadomości, zaprowadziło u siebie i Polskie Radjo, ta instytucja tak powszechnej użyteczności. Zaprowadziło z pewnemi korzystnemi modyfikacjami tak że reportaże są prawie najczęstszą i ulubioną formą wypowiedzi autorów, a zarazem audycją najchetniej słuchaną przez różnowykształcone sfery radjoabonentów. Naogół reportaże są tak przygotowywane, by począwszy od naukowca a skończywszy na „szarym człowieku“, każdy mógł z nich wyciągnąć coś i dla siebie i bez znudzenia a z zainteresowaniem wytrwać do końca 15-minutowej audycji.

Prawie każda z rozgłośni ma wybraną dziedzinę, z której co pewien czas nadaje reportaż. **Krakowska** stacja podjęła nadawanie reportaży z instytutów medycznych, biologicznych, oraz nauk fizyko - chemicznych — a są to zakłady naukowe uczelni tegoż miasta. Piękna tradycja **najstarszego w Polsce uniwersytetu**, znajduje pełny wyraz w tych starannie, sumiennie i bardzo ciekawie opracowywanych audycjach. Ostatnia z nich nosiła wielce frapujący tytuł **„Serce przemawia“**. Tytuł ten uzasadniono niezmiernie interesującą i trochę **jakby niesamowitą** retransmisją bicia dwóch serc: zdrowego i chorego. Eksperyment przesłania na falach radjowych bicia serca ludzkiego, należy u nas — zdaje się — do pierwszych tego rodzaju. A jednak udał się w zupełności, wywierając swą dokładnością, siłą bezpośredniością wrażenie bardzo wielkie. A — jak mówił prelegent dr. **St. Karasiński** — pacjenci, których serca przemawiały w tak sugestywny sposób do radjosłuchaczy, nawet nie domyślił się, że ktoś prócz doktorów liczy równe spokojne tętno serca zdrowego szarpane, urywane, arytmiczne — chorego. **Klinika Chorób Wewnętrznych** — skąd nadawano powyższy piękny reportaż — pozostaje pod kierunkiem prof. dr. **Latkowskiego.** Prócz wielu prac ściśle naukowych i medycznych, kontynuuje też w szerokim zakresie działalność społeczno - lekarską. Do tej kategorji należy przedewszystkiem badanie stanu zdrowia młodzieży wstępującej na wyższe uczelnie. Badania takie odbywają się przy zastosowaniu wszelkich możliwych i dostępnych środków, z największą sumiennością i dokładnością. Możemy więc ocenić znaczenie i wartość prac podejmowanych przez tę — tak ciekawie i pięknie w reportażu dr. Karasińskiego przedstawioną placówkę polskiej wiedzy.

Na zupełnie inny temat przeprowadził reportaż z gmachu **Poczty Głównej** w Warszawie p. **Jabłkowski.** Opisał w nim przebieg wędrówki listu od chwili wrzucenia go do skrzynki, aż do dojścia do rąk adresata i szereg manipulacyj z tą wędrówką związanych. Przy sposobności dowiedzieliśmy się rzeczy naprawdę ciekawych, mających nawet praktyczne znaczenie: oto np. jeśli list jest wysłany bez podania **szczegółowego adresu**, przez ogłoszenie nazwiska adresata na sali listonoszów odnajduje się listonosza, w którego obwodzie mieszka dana osoba. I list dochodzi w porę do rąk adresata. Duże znaczenie — dla urzędników pocztowych ma sposób nalepiania znaczka: powinien się on znajdować powyżej czytelnie wypisanego adresu, a nie po przeciwnej stronie koperty. Również i wielkość tejże koperty odgrywa pewną rolę, ale chyba mało osób zgodziłoby się na proponowane w tym reportażu używanie kopert o jednym standaryzowanym wymiarze. Następnie stała wada publiczności wrzucanie listów do nieodpowiednich skrzynek, stawianie nieczytelnych gryzmołów miast adresu itp. W reportażu tym — zresztą ciekawym i przeprowadzonym z **wielką żywością** przy współudziale pracowników pocztowych — doszukać się można było dwóch słabych miejsc. Pierwsze to — nienadzwyczajny język polski (np. „trudno znaleźć trochę luzu“ lub „dziwny blat“) w początkowych momentach; drugie — nadmiar jaskrawych superlatywów, użytych w zakończeniu reportażu, które robiły wręcz wrażenie reklamy czy innych (dawnych) „Rozmaitości“. Jednak ten „luz“ i „blat“ łatwiej można u prelegenta usprawiedliwić, wziąwszy pod uwagę rozgwar ruch i zamieszanie jakie w danej chwili trwało wokół mikrofonu, jeśli on istotnie stał przed gmachem Poczty. Ogólnie zaś biorąc — rzeczy te nie wpłynęły na całość tej audycji ciekawej, urozmaiconej i pełnej życia.

r. R.

Radjo w Bułgarji

Radjo bułgarskie znajduje się jeszcze w powijakach. Bułgarja ma na razie stację nadawczą o sile 1,5 kw. Została wybudowana w r. 1929 przez bułgarskich pionierów radjowych bez pomocy państwa a koszty pokryły składki związku „Rodno Radjo“. Stacja leży w odległości 2 kilometrów od Sofji. Siedzibą jest mały budynek wybudowany z dochodów osiągniętych przez loterję radjową. Studjo znajduje się w mieście. Obie wieże wysokie mniej więcej na 60 metrów zostały przez trzech założycieli wybudowane własnoręcznie z żelaza a dyrekcja poczt dostarczyła paru starych maszyn, które dotąd pełnią służbę.

W ostatnich czasach rząd bułgarski wziął się energicznie do zorganizowania stacji i służby radjowej. Przy Generalnej Dyrekcji poczt powstał specjalny oddział radjowy. Stacja nadawcza w Sofji ma być wzmocniona i mają powstać dwie mniejsze stacje w Warnie i w Plowdiw, których budowa ma być ukończona w ciągu następnego roku. Przedsięwzięcie to jest jak na Bułgarję bardzo śmiałe wobec braku środków technicznych.

Dowodem tego, że radjo bułgarskie znajduje się jeszcze w powijakach, jest fakt, że personel radjowy pełni swoją służbę bezpłatnie. Roczną opłatę radjową w kwocie 500 lewów pobiera nie radjo, lecz państwo. Niema nawet dokładnej statystyki ilości słuchaczy i nie można sobie zdać sprawy, na jakie radjo mogłoby liczyć dochody. Do niedawna liczbę abonentów radjowych szacowano na 8 tysięcy, ale obecnie podaje się cyfry 30 000 a nawet 120.000 co na ludność państwa 6-miljonowego stanowiłoby procent bardzo wysoki.

Z początkiem tego roku rząd bułgarski wyasygnował sumę 40 miljonów lewów na wybudowanie nowej stacji nadawczej. Radjo, które dotąd było przedsiębiorstwem — o ile można tutaj użyć tego słowa — przedsiębiorstwem prywatnem stało się monopolem państwowym. Państwo posiada większość akcyj i wywiera wpływ na układanie programów radjowych. Radjo poddane zostało Instytutowi odrodzenia narodowego, który stanowi rodzaj ministerstwa propagandy i oświaty. Równocześnie opracowuje się ustawę radjową.

Radjo bułgarskie mając do dyspozycji wielką stację nadawczą, będzie mogło odegrać znaczną rolę w polityce radjowej Półwyspu Bałkańskiego. Jest rzeczą prawdopodobną że nowa stacja nadawcza w Sofji narówno ze stacją włoską w Baari nadawać będzie audycje w języku greckim. Stacje te będzie słychać i w Macedonji, znajdującej się obecnie w przeważającej części w rękach Jugosławji. Stacja w Bukareszcie nadaje również audycje greckie ze względu na 75 tysięcy Greków mieszkających w Rumunji.

Rumunja buduje obecnie nową wielką stację nadawczą w Braszowie, która będzie najsilniejszą stacją na Bałkanach i również obliczoną jest na słuchaczy w Grecji. Grecja sama nie posiada dotąd własnej stacji nadawczej, a słuchacze greccy skazani będą na słuchanie produkcji z Bari, Sofji i Braszowa. Przypuszczają ogólnie, że Grecja wreszcie wyjdzie ze stanu bierności i przystąpi do budowy własnej stacji nadawczej.

(z.)

Wierzę w jednego Boga

„Hymny strzeliste" Michała Pawlikowskiego*)

Poezja religijna jest stara, jak świat; istnieje od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy powiedział słowo: „Boże!". — Na najwyższe stopnie artyzmu wzniosła się religijna poezja chrześcijańska. „Te Deum laudamus" św. Ambrożego, jak „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?" Jana Kochanowskiego, to objawy tej samej, wiecznie żywej tęsknoty ludzkiej duszy za Twórcą wszechrzeczy. Że owa tesknota, zakwitająca w literaturze polskiej wspaniałemi strofami Kochanowskiego, Mickiewicza i Kasprowicza, żyje wiecznie w polskiej duszy do dnia dzisiejszego, świadczy wydany niedawno zbiór hymnów M. Pawlikowskiego „Wierzę w jednego Boga". — Kiedy wczytamy się w tę książkę, gdzież jesteśmy? Nigdzie. Znika przestrzeń, znika czas, ogarnia nas wieczność. Mało tego. Powoli znikamy i my sami, jako jednostka. Zostaje tylko w nas i dokoła nas wieczny, potężny i wciąż potężniejący, nieodmienny Bóg:

„Potęgi wieczystej pełny, Bóg mój a Bóg nieśmiertelny!.." (str. 14).

I już odkryliśmy niezwykłą wartość hymnów Pawlikowskiego: wysunięcie na pierwszy plan nie siebie, nie człowieka (choć to przecie poezja najbardziej osobista) ale Boga, Tego, którego owe hymny wielbią. To właśnie odróżnia poezję Pawlikowskiego od religijnych strof Mickiewicza, a przedewszystkiem Kasprowicza, że u niego sprawy ziemskie, metafizyczne bóle jednostki ludzkiej nic nie znaczą:

„Już nie przychodzę ze sprawą, z żadną moją marną sprawą człowieczą — wszystkie mi one z rąk podnies'onych ku Tobie przez palce lecą..." (str. 9).

Cały horyzont myśli i uczuć poety zajmuje tylko i wyłącznie Bóg. Jeśli wspomni o czemś ziemskiem, to chyba o Polsce:

„Już widzę łańcuchy gór, widzę już białe miasta... i już podemną Polska, moja własna Polska się rozrasta!" (str. 16).

Pierwszy też to chyba poeta polski, który wielbi Boga nietylko wśród gór majestat Boży obrazujących, ale nad polskiem morzem:

„Bądź pochwalony morzem, co chyże, a zadumane w bytu przelew'e, ciche a pełne gwaru, w pustce bezmiaru o brzegi białą pospieniało pianę — o Hel, o Rozewie, i o Pomorze, i o Rujanę, fala po fali, coraz dalej... i jeszcze... i jeszcze dalej.." str: 12)

Tak pięknego zespolenia siły morskiej z poezją religijną jeszcze w polskiej pozji nie mieliśmy. Zadziwia u Pawlikowskiego przedziwny spokój duszy, zaiste godny owych przestrzeni kosmicznych, do jakich jego hymny nas wprowadzają. Kiedy u Kasprowicza była prawdziwa walka z Bogiem, buntem i bluźnierstwem toczon o szczęście ludzi o to, że na świecie włada zło i grzech (walka, dodajmy, zakończona rezygnacją i ukojeniem), u Pawlikowskiego walki ani buntu niema, nie z jakiejś słabości ducha, nie naskutek umiłowania martwoty i statyczności, ale wobec faktu, że tam, gdzie mowa

o Bogu, **„w którym tonie pierwsze i w którym tonie ostatnie pytanie, któryś wszystko stworzył z niczego, kiedyś rzekł: Niech się stanie!"**,

tam boleści ludzkie znikają w oddali, bo wszystko ogarnia potężna Wiara i potężniejsza od niej Miłość. W hymnach Pawlikowskiego dostajemy gotowy rezultat szeregu procesów poetyckich, które znane są tylko poecie i nie ujrzały światła dziennego. Tam, w duszy, mogła być walka, tu, w poezji jest już pewność. Tam mogło być inaczej, tu jest tak, jak być musiało. Człowiek-poeta zachwycony usiłuje stanąć wobec Boga, zbrojny w siłę swego natchnienia i przejrzeć Jego istotę. Stary to problem w historji poezji religijnej i może nic tak dobrze nie charakteryzuje typu twórczości poetyckiej, jak owa próba zgłębienia niedołężnem ludzkiem odczuciem Boskiej Istoty. Dlatego warto porównać owo określenie Boga u Pawlikowskiego z podobnem, choć stworzonem zapomocą przenośni, określeniem Boga u Mickiewicza. Oto u Mickiewicza w wierszu „Arcymistrz" znajdujemy:

„Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
i wszystkie serca nastroił do wtóru.
Wszystkie żyw'oły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich w'chry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku".

U Pawlikowskiego zaś (str. 10):

„Tyś jest n'eskończoność i wieczność... Tyś jest jak Greków ocean zamkn'ęty dokoła nas. W Tobie się zwichrza czas i płynie w strony obie. Dlategoś jest nieodmienny i dlategoś jest nieśm'ertelny..."

Aby teraz poznać, na jakie drogi, a raczej bezdroża, zeszła u niektórych poetów powojennych poezja religijna, warto przytoczyć ustęp z „Hymnów" Józefa Wittlina, wydanych w r. 1920, zawierający także pewne określenie Boga: (Hymn nad hymnami str. 64, 65).

„Czuję, że jesteś, jeno mnie nie słyszysz, bo śpisz, znużony ogromnem ojcostwa i śpisz na puchu z archan'elsk'ch piór i odpoczy'asz w cieniu gałęzi drzewa poznania;
A Cherubini nad Twą śniącą głową różdżkami z palmy odganiają muchy wszelakich ludzk'ch tęsknot i modlitew.. i śpisz... — — —
— Zbudź się!!" —

Sądzę, że obcość takiej poezji dla polskiej duszy odczuje każdy. I nie można się zbytnio dziwić. Człowiek, który jak Wittlin, w innym ze swych „Hymnów" mówi bluźnierczo o Bogu:

„O, Panie! — —
Tyś najpiękniejszym naszym wynalazkiem ze wszystkich ludzk'chi wynalazków. Spraw, żebyś żył!!"

taki człowiek nie może nam wogóle dać tego, czego w poezji religijnej szukamy.

Ta dygresja wittlinowska tem lepiej uwidoczniła nam piekno i wartość „Hymnów" Pawlikowskiego. Trzeba też podkreślić u niego jeszcze jedną, bardzo znamienną cechę. Pawlikowski jest poetą nawskroś katolickim; wiara jego w poezji jest mocna i żywa. Gdy przeczytamy taki fragment:

„Czyliż to myśl stworzyła z lamentów n'czego, z bezczasu i bezprzestrzen' ciszę pełną muzyk i jasność pełną koloru, a białą, jak w Tajemnicy Sakramentu, gdy Ciało z chleba się stało?" (str. 12).

to czujemy odrazu, że tak przedziwnie połączyć w poezji tajemnicę Najświętszego Sakramentu z istnieniem Boga mogła tylko wiara żywa i miłość gorąca. Tu nasuwa się znów pewne porównanie z Kasprowiczem. Kasprowicz, syn ludu, miał mocną wiarę we krwi; do tej wiary wrócił w „Księdze Ubogich" i „Moim świecie" pod koniec życia, ale była ona u niego jakże konkretna! Znalazła też piękny, a niezapomniany wyraz w Panu Bogu z „Mojego świata", gwarzącym w postaci gazdy z dwoma staruszkami.

U Pawlikowskiego natomiast znać rodową kulturę religijną i filozoficzną. Czasem aż ma się ochotę przypuścić, że na „Hymny" Michała Pawlikowskiego złożyło się szereg pokoleń rodziny Pawlikowskich, wierzących i umierających ze słowami „Wierzę w jednego Boga". Dzięki tym drzemiącym w duszach tylu pokoleń uczuciom religijnym, mogły „Hymny" Michała Pawlikowskiego zabłysnąć subtelnością i kosmicznością, pewną abstrakcyjnością, zmieszaną z silną konkretnością przyrody. Bo Bóg w „Hymnach" nie jest abstrakcją czystą, jest istotą wprawdzie duchową, ale osobową, różną od stworzonej przez się natury. I w tem także staje się Pawlikowski wyrazicielem wiary Kościoła katolickiego.

Ale dość już analizy. Zbierając poprzednio omówione cechy „Hymnów", można powiedzieć, że wiara i filozofja podały sobie w nich ręce, aby stworzyć piękne dzieło poezji religijnej. Forma wiersza, przystosowana znakomicie do treści, przynosi zaszczyt poecie.

Ogłoszony niedawno w „Myśli Narodowej" fragment dalszych „Hymnów" Pawlikowskiego o Matce Bożej, wskazuje, że polska poezja religijna wznosi się znów na wyżyny. „Wierzę w jednego Boga" stanowi w dziejach tej poezji piękną i wartościową kartę.

Witold Nowosad.

*) Michał Pawlikowski: „Wierzę w jednego Boga". Poemat z „Hymnów strzelistych" pierwsz:. Medyka 1934. Nakładem Biblioteki medyckiej. — Skład główny w „Domu Książki Polskiej" w Warszawie.

Czy gruźlica jest zaraźliwą?

Zagadnienie to, oddawna zresztą zasadniczo rozstrzygnięte, stało się od jakiegoś czasu przedmiotem żywej dyskusji w której zabierają głos wybitni zagraniczni interniści.

Wysuwana przez niektórych lekarzy teza streszcza się w tem, że gruźlica jest zaraźliwą tylko dla dzieci, — ludziom dorosłym natomiast nie grozi prawie żadne niebezpieczeństwo z przebywania stałego w towarzystwie gruźlików.

Dla poparcia tej tezy przytaczają cyfry statystyczne zebrane w szpitalach, sanatorjach i klinikach: zarówno wśród służby sanitarnej jak i wśród lekarzy, którzy ciągle stykają się z chorymi na gruźlicę, procent zakażenia się bakterjami gruźlicy jest stosunkowo bardzo nikły. Chociaż więc teoretycznie gruźlica jest niewątpliwie chorobą zakaźną, — to jednak praktycznie, w życiu codziennem i w normalnych warunkach, niebezpieczeństwo zakażenia jest minimalne.

* * *

Jak to wytłómaczyć? Zwolennicy tej tezy sięgają do analogji. Wiadomo powszechnie, że dur (odra) jest chorobą zakaźną. Przechodzą ją wszystkie prawie dzieci, — natomiast człowiek dorosły, który przechodził tę chorobę w dzieciństwie, — nigdy prawie nie ulega wtórnemu zakażeniu. Mamy tu zatem do czynienia z typową immunizacją organizmu.

Otóż podobnie ma się sprawa i z gruźlicą. Małe dziecko, czy to w mieście, czy na wsi, styka się z gruźlikami na każdym niemal kroku, narażone jest na inwazję bakteryj.

Na szczęście kończy się zazwyczaj na lekkiej tylko infekcji; zdrowy organizm dziecka normalnie rozwiniętego i należycie odżywianego opiera się zwycięsko chorobie. Kończy się na lekkiej gorączce, ogólnem osłabieniu i przejściowym ubytku na wadze.

Objawy te, nieraz nie zauważone lub zbagatelizowane, znikają po pewnym czasie. Jako jedyny ślad pozostaje nieznaczne powiększenie gruczołów limfatycznych na szyji, które w pewnych przypadkach doprowadzić może do ich zropienia, pociągając za sobą konieczność operacji.

I dziwna rzecz: liczne obserwacje lekarskie wykazały że właśnie osoby, które przechodziły podobną operację, nigdy nie zapadają na gruźlicę płuc.

Z powyższego nasuwa się wniosek, że organizm, który przeszedł za młodu zwycięsko takie pierwsze zakażenie, — staje się odpornym przeciw dalszym

A zakażenie pierwsze przechodzi niemal każdy człowiek. Stwierdzić to można bez trudu zapomocą tzw. reakcji Pirqueta. Zwłaszcza w większych miastach, centrach przemysłowych próba Pirqueta daje niemal stale wynik pozytywny co dowodzi, że minimalny tylko odsetek ludzi nie uległ w wieku dziecięcym czy młodocianym pierwszemu zakażeniu bakterjami gruźlicy zakażeniu z reguły z'okalizowanemu w obrębie gruczołów limfatycznych

* * *

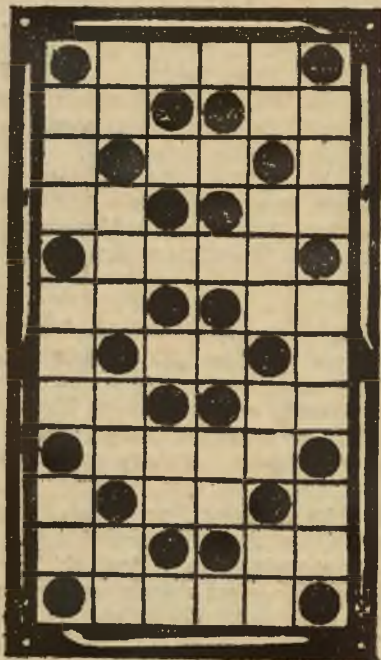
Analogja jednak między gruźlicą a odrą nie jest kompletna. Gdy bowiem dur (odra) jest chorobą zakaźną o pewnym określonym czasie trwania, — gruźlica jest chorobą chroniczną. Zarazki jej nie znikają z organizmu, żyją niejako w stanie utajenia. W sprzyjających okolicznościach, gdy organizm skutkiem jakiejś innej choroby, przemęczenia, nadmiernych wysiłków staje się mniej odpornym, — zarazki mogą się rozmnożyć gwałtownie i choroba wybucha nieoczekiwanie z całą gwałtownością.

Choć więc zasadniczo zostało stwierdzonem, że osoby u których próba Pirqueta wypadła pozytywnie, są bardziej odporne na ponowne zakażenie prątkami gruźlicy, — to jednak zakażenie takie zawsze jest w sprzyjających warunkach możliwe. I dlatego nie wolno nam rezygnować ze wszystkich stosownych ogólnie środków ostrożności w walce z tą chorobą, porywającą rokrocznie tysiące ofiar. (kr.)

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Logogryf konikowy

(Ułożył „John Ly")



Der, dwan, e. e, el; fer; fot; fu; in. kap. li, mia. pa, ro; ry; ski; skok; ster, sza, szo. świ. tur. woj. wy; zie; zja.

Z powyższych sylab proszę ułożyć 12 wyrazów 6-literowych wedle podanych określeń i wpisać w figurę. Litery w kratkach. oznaczonych kółkami, połączone ruchem konika szachowego, utworzą aktualny dwuwiersz, który można podać bez wyrazów pomocniczych. Początek konikówki w kratce górnej, lewej. —

Znaczenie wyrazów: 1) Kierowca. 2) Nakrycie głowy. 3) Alkohol. 4) Niszczące działanie wody lub powietrza. 5) Urząd honorowy w dawnej Polsce. 6) Planeta. 7) Strój liturgiczny. 8) Narzędzie rzemieślnicze. 9) Linja krzywa zamknięta. 10) Miejsce stracenia. 11) Rodzaj pojazdu (wspak). 12) Dopływ Elby.

* * *

Z cyklu: „Strofy miłosne"

(napisała „Junona" czł. Warsz. Klubu Szaradzistów).

SZARADA III.

Pięć! Nie powiem, jak inne, że: „to była chwila"...
że: „nie wiedziałam wcale, co się ze mną stało!"
bo wiem, żeś ty mi słodko godziny umilał
twych spojrzeń i uśmiechów pieszczotą zuchwałą!
I nie powiem, jak inne, żem pragnęła spłoszyć
ten urok, który **osiem** mnie pragnieniem płonął,
bom się świadomie słodkiej poddała rozkoszy,
gdy odgadłam twych spojrzeń treeść niewymówioną!
W **szóstej-czwartej** kobiecej, która przyznać wzbrania,
że jest dobrze i miło — nie rzekłam ni słowa,
lecz jak się było wyrzec lubego poddania,
gdyś mi oczy zamknięte tak słodko całował?...
Czyż miałam się **wspak pierwszo** — **wspak drugo-pięć** bronić
i raz długiej tęsknocie :kazywać na nową?
O nie! W niedokończonej za szczęściem pogoni,
trzeba chwytać uśmiechy krążące nad głową!
Któż nie **dwa-trzy-czwór** serca, które słodycz cicha
omami i opęta, tłumiąc tęsknot skargi?
Można do dna nie wypić rozkoszy kielicha,
lecz któż wzbroni umoczyć w nim spragnione wargi?
Wszak potrzeby **sześć-siódme i ósme** człowieka
zaspokoić potrafi czasem chwila krótka;
po niej — szczęśliwe serce już dalszych nie czeka,
całe które przeżyło... pociesza je w smutkach!

* * *

Nagroda „Junony"

Za rozwiązanie całego cyklu, pięciu „Szarad miłosnych" przeznaczyła Szan. Autorka tych szarad osobną nagrodę.

Jest nią książka **Stanisława Wasylewskiego** „O miłości romantycznej", z własnoręcznym czterowierszem dedykacyjnym „Junony".

Nagrodę tę przyznamy w drodze losowania po ukończeniu całego cyklu, przyczem w losowaniu wezmą udział wszyscy, którzy rozwiązali już pierwsze dwie szarady i nadsyłać nam będą dalsze rozwiązania.

Redakcja.

* * *

Cykl szaradowy „Kobieta"

(Napisał „John Ly")

2. SZARADA

Młody ją widzi w **pierwszej i siódmej** gwiezdnej,
poprzetykanej świeżem, wonnem kwieciem —
stary w przejrzystej, albo zgoła... bez niej,
lubiąc plastyczne wizje o kobiecie.
Że **szósta-trzecia** z nią, ten ów się skarży.
Z ust zaś innego **czwór-trzecia** natchniona,
na cześć jej spływa.. A iluż mocarzy
nieraz się przed nią schylała korona?!
Druga i trzecia jest urodzie swojej.
Druga i trzecia bierze serca w jasyr.
Druga i trzecia pięknży się i stroi
i **druga - trzecia** czerpie na to z kasy..
Strzeż się, gdy łasząc się, jak **piąte-siódme**.
czwór-siedem-dwa o twarz twą buziak słodki
i **czwarte-piąte** robi do cię cudne!
Nie bez kozery są one pieszczotki..
Nikt nie wyśpiewa ani wypowie, —
ile rozkoszy ten anioł dać zdołał,
Ale mi wierzcie że czasem najzdrowiej
jest **pięć-pierwszego** dostać od anioła.

* * *

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

Należy odgadnąć czternaście wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów dadzą w rozwiązaniu imię i nazwisko pisarza polskiego, oraz tytuł jednego z jego dzieł.

Dla ułatwienia podajemy przy każdym wyrazie (w nawiasie) samogłoski wchodzące w skład danego słowa. Należy je odpowiednio poprzestawiać i uzupełnić spółgłoskami.

1) Imię męskie (a, a, i), 2) Umowa, akt kupna - sprzedaży (a, a, a), 3) imię męskie (a, e, e, u), 4) zmartwienie, kłopot (a, e, u), 5) papier wartościowy (a, a), 6) legat papieski (u, u), 7) biografja (i, o, y, y), 8) wysłannik (a, e, i, u), 9) zastanowienie (a, e, e), 10) imię króla polskiego (a, o), 11) stare wino (a, a, a), 12) rodzaj wędliny (a, e, o), 13) miasto w Polsce (a, e, i, o), 14) „cesarstwo" (e, i, u).

* * *

Szarada

(napisała Hel. Mokrzycka, Drohobycz)

Wielka e — **czwarta-pierwsza** śpiewacza
Ze **drugich** osób może złożona.
W każdy dom gwarnie, wesoło wkracza,
Świetnie dobrana i wyćwiczona.
Śpiewając **cała** niosą wesele.
Nad **dwa-czwór** górskie głos płynie, leci..
A dochód z tego (choć to niewiele)
Dają na biedne i głodne dzieci.
Dyrygent laskę wznosi do góry.
Jak **pierwszy-drugi i trzeci** w dłoni
Panu. Królowi, choć bez purpury...
W kornej ofierze słodka pieśń dzwoni.
Lulajże, lulaj, Dziecino droga!
Lulaj całego świata zbawienie!
Twoja **dwa-pierwsza** zetrze w pył wroga.
Boś Bóg Wszechmocny w małej Dziecinie.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa 30 stycznia.**

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

*

ROZWIĄZANIA Z Nr. 6.

Rebus: Bereza Kartuzka.
Szarada: Szarada miłosna.
Łamigłówka: Złota zaszka. „Ecce homo". Marchołt. Srebrne i czarne. Turoń. Aszantka. Zemsta.
Rebusik: Wojewoda poleski.
Szarada: U progu Nowego Roku.
Poświąteczne echa: Karakuły.
Szaradki techniczne: Elektryka. Akumulator.

*

ROZWIĄZANIA NADESŁALI

ze Lwowa pp. J. Kwiczoł, Wanda Wolańska, Zofja Kiernicka, „Arja", „Biały Ceś", Jankor, M. Szydłowska, R. Wit., Tato Krzysia, Eug. Boczarska, M. Ruxerówna, M. Zygmuntowicz, Bron. Ostrowski, Stan. Krzywobłocka, Eugen. Dworski, Roman H., Wanda Smolicka, Józef Koberwein, Sigma.

z Warszawy pp. J. Alis, B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kozłowski, N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. Wanda i Teofil S. (Baranowicze), Irena Senze (Żychlin), Irena Wilkowa (Rzeszów), „Tom" (Rzeszów), Hel. Mokrzycka (Drohobycz), M. Lityńska (Przemyśl), Czesł. Murczyński (Kraków), M. Kański (Kraków), St-cki (Tarnopol), K. Jurkiewicz (Śniatyn).

*

Nagrodę uzyskał p. Józef Koberwein we Lwowie. Książka jest do podjęcia w naszym kantorze.

*

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

H. M. Drohobycz: Za miłe słowa i nadesłaną szaradę dziękujemy, prosząc nadal o pamięć.

John Ly. Zrobimy według życzenia. Czekamy na zapowiedziany cykl. Pomysł doskonały.

Olga. Na pocieszenie wyjaśniamy, że łamigłówki nikt nie rozwiązał! A przecież nie była zanadto trudna. Nie należy się tem zrażać — rozwiązanie, choć niekompletne, bierzemy też pod uwagę przy losowaniu.

* * *

Z pośród grona naszych szaradzistów ubył świeżo jeden z najwierniejszych przyjaciół, śp. inżynier Jan Witkiewicz, który pod swym stałym pseudonimem „inż. J. W." regularnie co tydzień przesyłał nam rozwiązania, znajdując w tem miłą rozrywkę w ostatnich latach Swego pracowitego żywota. Cześć Jego pamięci!

Ze świata książki

„Przygody Don Kichota" w przekładzie i opracowaniu dr. Edwarda Boyé (wyd. „Książnica - Atlas", Lwów—Warszawa).

Dobrą myśl miała „Książnica" podejmując wydanie tego nieśmiertelnego arcydzieła, którego poprzednie przekłady polskie oddawna już są zupełnie wyczerpane. Przekład obecny, uksuteczniony przez doskonałego znawcę języka i kultury hiszpańskiej, różni się niejednem od wszystkich dotychczasowych. Tłumacz ogranicza się na streszczeniu niektórych, mniej charakterystycznych ustępów, podając natomiast pozostałe w oryginalnej formie.

Oczywiście znajdujemy tam wszystkie najkapitalniejszego przygody Błędnego Rycerza, od klasycznej walki z wiatrakami począwszy aż do pogromu kukiełek, podróży zaczarowaną łodzią i pojedynku z Rycerzem Białego Księżyca.

Język z umiarem archaizowany, — choć nie ze wszystkiem możnaby się zgodzić bez dyskusji.

Ilustracje, sporządzone według słynnych rysunków G. Doré'go, stanowią duże upiększenie książki, wydanej nadzwyczaj starannie.

PAUL CAZIN: „Décadi ou la pieuse enface". (Wyd. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa). Piąty tomik „Biblioteczki francuskiej" zawiera kilka najpiękniejszych fragmentów z najlepszego bezsprzecznie dzieła Pawła Cazin'a. Nazwisko autora dobrze jest w Polsce znane: wielki ten, nawskroś katolicki pisarz, jest serdecznym przyjacielem naszego narodu. Przebywał dłuższy czas we Lwowie, gdzie też uzyskał doktorat filozofji za swoją pracę o Ign. Krasickim. A zapisał się we wdzięcznej naszej pamięci doskonałym przekładem „Pana Tadeusza" wydanym w r. 1934 w Paryżu.

„Décadi" zawiera cztery fragmenty z powieści Cazin'a pod tym samym tytułem, fragmenty, z których przebija wielka miłość, z jaką autor odnosi się do swego małego bohatera. Cazin — jak rzadko który pisarz — rozumie i zna doskonale psychologię duszy dziecięcej. Opowiadania jego, pisane pięknym, prostym językiem, opromienia blask dyskretnego humoru, połączonego z subtelną ironją. Cazin nigdy nikogo nie dotknie, nie urazi, — umie zachować w pisaniu umiar, cechujący prawdziwego artystę i dobrego, wyrozumiałego, szlachetnego człowieka, — przyjaciela młodzieży.

ZOFJA ŻURAKOWSKA: „Jutro niedziela" (Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa). Dwa dłuższe opowiadania dla młodzieży. Treść interesująca, miejscami niemal sensacyjna, ukrywa jednak pewne tendencje moralne. W sumie lektura miła i zdrowa.

K. Rychłowski.

POGROBOWE DZIEŁO O. STANISŁAWA DUNIN BORKOWSKIEGO T. J. Księgarnia katolicka Aschendorff'a w Monastyrze rozpisała w dniach ostatnich subskrypcję na wspaniałe i pomnikowe dzieło naukowe niedawno zmarłego jezuity O. Stanisława Dunin Borkowskiego.

Dzieło to, napisane w języku niemieckim, to czterotomowa monografja filozofa Spinozy. Narazie wyszły pierwsze dwa tomy w objętości ponad tysiąc stron druku (1157 stron i 24 ilustracje). Trzeci tom jest obecnie w druku, czwarty jeszcze w manuskrypcie. Tom pierwszy omawia młode lata Spinozy. Tom drugi poświęcony jest przełomowemu rokowi 1657, trzeci nosi tytuł: „Nowe życie", wreszcie czwarty analizuje całe dzieło życia Spinozy.

Uczeni całego świata uznają jednomyślnie pogrobowe dzieło O. Borkowskiego za jedną z najświetniejszych pozycyj w literaturze filozoficznej.

Rozruchy studenckie w Paryżu w r. 1842

(Opis z „Gazety Wielkiego Xięstwa Poznańskiego” z 17. I. 1842.)

Z Paryża, dnia 8 stycznia:

O wczorajszej demonstracji studentów „Mesager” donosi, co następuje: „Onegdaj i wczoraj w szkole prawa i medycyny poprzybijane były pisane plakaty, aby studentów przy sposobności uwolnienia Pana Lamennais do manifestacyi zachęcić. Prowokację tę większa część studentów przyjęła, jak się należało wszelako zgromadziło się wczoraj na placu Pantheonu około 300 osób, które ztamtąd na plac przed szkołą medycyny się udały, gdzie drugi tłum, może z jakich 200 osób złożony — w którym, jak i w pierwszym kilku było studentów, ich oczekiwał. Te dwie gromady pociągnęły w małych oddziałach przez Pont neuf, plac Palais Royal, boulevard des Italiens do leżącego na rue Fronchet pomieszkania (!!) Xiędza Opata Lamennais. Aż do boulevard des Capucines pochód ich był spokojny, ale przechodząc przed hotelem Ministra spraw zagranicznych, ryczeli: „Precz z Guizotem!” (ówczesny premier i min. spraw zagran. — przyp. Red.). Stanąwszy przed domem X. Lamennais (ówczesny przywódca katolickiej partji liberalnej — przyp. Red.) wysłali czterech deputowanych do jego pokoju. Gdy się w oknie ukazał, pozdrowiono go hucznem: „Niech żyje!” Tymczasem nadszedł oddział wojska liniowego, poprzedzany przez dwóch komisarzy policyi; tłum wyruszywszy w pochód, udawał się w kierunku ku dzielnicy szkolnej. Przed hotelem Ministra spraw zagranicznych, powtórzono okrzyk: „Precz z Guizotem!” Na ulicy de Croissant przed biurem Journal du peuple wzniesiono okrzyk: „Niech żyje Dupoty!” Przed pałacem Izby Parów krzyczeli wichrzyciele po kilkakroć: „Precz z Parami! Stare ubiory, stare galony!” Stanąwszy na placu Pantheonu, chcieli Marsyliankę zanucić, ale oddział gwardyi muni ypalnej zapobiegł temu, rozegnawszy hałasowników. Wielu studentów i rzemieślników, co najgorzej krzyczeli, w rozmaitych miejscach aresztowano i pod sąd oddano. Ludność wszędzie od tych wichrzycieli stroniła i nigdzie nie objawiała im udziału.

Widzimy, że pod tym względem niewiele się zmieniło od 93 lat zarówno, jeśli idzie o rozruchy studenckie jak i o sposób przedstawiania zajść przez prorządowe dzienniki.

To.

Ilu jest radjosłuchaczy na świecie?

Ilość radjosłuchaczy na świecie wzrosła w r. 1933 o 20 miljonów i osiągnęła czemu te opieraj... się na statystyce procyrę licząc krągło 180 miljonów. Obliwauzonej przez radjo i przez rozmaite urzędy państwowe na świecie.

Stany Zjednoczone Ameryki i Europa walczą o pierwszeństwo na punkcie ilości słuchaczy. Z końcem roku 1933 miały wyjątkiem Rosji miały ich razem 18 miljonów, Sowiety natomiast z końcem roku 1932 miały 2 i pół miljona słuchaczy. Liczba więc słuchaczy Europy wraz ze Sowietami dorównywa liczbie północno amerykańskiej.

Liczba słuchaczy w Europie wzrasta w bardzo szybkiem tempie, przedewszystkiem Stany Zjednoczone 20 i pół miljonów radjosłuchaczy. państwa zaś europejskie z szystkiem w Wielkiej Brytanji i w Niemczech, gdzie w ciągu 2 miesięcy roku 1933 przybyło 530 tysięcy nowych słuchaczy. W tym samym okresie liczba radjosłuchaczy we Francji wzrosła o 66 tysięcy.

W roku 1933 była Azja na trzeciem miejscu, co jest zasługą Japonji, gdzie co tydzień przybywa przeszło 7.000 nowych radjosłuchaczy.

Południowa Ameryka znajduje się na miejscu czwartem. Argentyna ma 450 tysięcy słuchaczy. Chile ma 200 tysięcy słuchaczy i najgęstszą sieć radjową, olbrzymia zaś Brazylja ma zaledwo 150 tys.

Na piątem miejscu znajduje się Australja o gęstości sieci równej Europie.

W Afryce na pierwszem miejscu znajduje się Unja południowo-afrykańska, a wysuwa się obecnie na front i Marokko. W należących do Francji Algierze i Tunisie liczba radjosłuchaczy się podwoiła. W Egipcie również radjo czyni postępy.

Wielka Brytanja i Dania zbliżają się już do punktu nasycenia. Natomiast inne kraje dalekie jeszcze są od niego. Przypuszczają, że rok 1940 będzie okresem nasycenia dla wielu krajów, w których radjo czyni największe postępy. (W.)

Z wydawnictw

Życie muzyczne i teatralne, miesięcznik, wyd. w Poznaniu pod red. W. Brzostowskiego. — Trzeci zkolei zeszyt grudniowy, bardzo bogaty w swe treści poświęcony jest aktualnym zagadnieniom wychowawczo-artystycznym.

Numer rozpoczyna wspomnienie o **Józefie Elsnerze** (w 80 rocznicę śmierci) świetnym, pierwszym polskim pedagogu muzycznym **Dr. Stefan Śledziński**, pisze o roli społecznej szkolnictwa muzycznego. **Dr. H. Opieński** omawia kilka wskazówek pedagogicznych słynnego lutnisty **Besarda**, z r. 1617, które do dziś nie straciły na aktualności. Artysta **Józef Hofman** wypowiada bardzo głębokie uwagi o grze fortepianowej.

Zagadnieniami **krytyki muzycznej** zajmują się **W. Brzostowski** (Rola wychowawcza krytyki), **St. Niewiadomski** (Krytyk muzyczny w czasach dzisiejszych), oraz **T. Kassern**, który rzeczowo przedstawia prawo krytyki w świetle przepisów prawa autorskiego. **Al. Kerpecki**, daje szereg praktycznych uwag o prowadzeniu i szkoleniu chórów oraz zespołów śpiewaczych. Cele przedszkola muzycznego kreśli **Cz. Piotrowska**. W dziale „Z literatury pedagogicznej” omawia **J. J. Dunicz** książkę **dr. Lissy** „Zarys nauki o muzyce”. — Sprawom **teatru** poświęcają sw. artykuły: **Jan Tokarski** (Duch teatru — uwagi dyskusyjne), **dr. St. Papée** (Teatr szkolny), **Fr. Libekowa** (Na amatorskiej scenie) i **W. Powel** (O bajkę współczesności).

Artykuł o operze warszawskiej **Teresowieckiego**, oraz omówienie działalności Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego i Stow. Młodych Muzyków w Krakowie kończą zeszyt tak bardzo interesującego pisma.

Ze względu na bogactwo i aktualność poruszanych tematów **„Życie muzyczne” i teatralne“** zasługuje na poparcie jak najszerszych warstw czytelników i powinno się znaleźć w rękach każdego, komu zagadnienie polskiej kultury artystycznej nie jest sprawą obcą.

„Dziecko i matka“, nr. 1. styczniowy, zawiera m. inn. aktualny artykuł „Radości zimy“, zawierający dużo trafnych wskazówek i uwag; w związku z tem pozostaje drugi artykulik „Przeziębienie dziecka“. Niemniej aktualne, a zasadnicze zagadnienia poruszają artykuły „Doskonałość“ i „Biblioteka w domu“. Pozatem zwykłe rubryki z zakresu higieny i pielęgnacji dziecka, oraz wzór oryginalnej serwety do pokoju dziecinnego.

Całość interesująca, starannie dobrana i opracowana.

EARNEST HOLM 76

„Ślepy Jack”

— Pani będzie miała ten zaszczyt, że naszego przyjaciela, (nic osobiście nie mamy przeciw niemu) Mr Holta zechce pani oswobodzić.

— Oswobodzić? — spytała gorączkowo. — Naprawdę to pan zamierza uczynić?

Niezdecydowaną stała przed tablicą rozdzielczą, trzymając rękę na czarnej rączce.

— Dlaczego nie otworzy pan poprostu drzwi i nie wypuści go? — spytała podejrzliwie.

— Ta rączka otwiera właśnie drzwi i oswobodzi go. Nie sądzi chyba pani, że mam zamiar oszukać ją w takiej godzinie.

Słowa te wypowiedział doktór niezwykle miękkim głosem, tak, iż nawet na chwilę nie zawahała się. Nie wiedziała, że dla tych ludzi kłamstwo i oszustwo było chlebem codziennym. Pociągnęła rączkę, która usunęła się łatwiej, niż przypuszczała. Następnie spojrzała na drzwi.

— Chodźmy naprzeciw, — rzekł doktór, biorąc ją pod ramię.

Zawahała się, nie próbowała jednak wyrwać się z jego ramion i w ten sposób poprowadził ją po schodach wgórę do salonu, zamknąwszy przedtem drzwi za sobą.

W tej chwili ramiona, trzymające ją dotychczas delikatnie w objęciach, otoczyły ją jak stalowe obręcze.

— Moja żona, bracie! — rzekł Dawid.

— Bezwątpienia twoja żona. — odrzekł doktór, ponieważ wszystko co najpiękniejsze i najlepsze należy do ciebie, mój najdroższy.

Diana z przerażnia nie była zdolna poruszyć się. Dlaczego Larry nie przychodzi? Doktór tymczasem równie szybko, jak ją chwycił w objęcia, puścił ją i ujął jej zimną rękę.

— Usiądź sobie przy kominku, kobieto, — rzekł. — Chcę odczytać teraz trzeci akt mego dzieła, a w międzyczasie Larry Holt przestanie żyć.

ROZDZIAŁ 41.

Larry siedział na brzegu łóżka, trzymając między rękoma obolałą głowę. Przewidywał rozmaite sposoby przebiegu dzisiejszej przygody, nie przypuszczał jednak, że jak mysz wpadnie w pułapkę i że w ten niezwykły sposób rozwiąże zagadkę loży „A”. A zatem w ten sposób przedstawiała się zagadka śmierci Gordona Stuarta. Okazało się, że i Stuart skorzystał z zaproszenia doktora do loży, gdzie spotkał się z tajemniczym Dearbornem. Tam został ogłuszony, następnie wyniesiony na mocnych ramionach Dawida do auta, które przewiozło go do tego domu śmierci.

Jeśli jednak Larry nie mógł przewidzieć podobnego przebiegu dzisiejszego wieczoru, to przynajmniej zachował pewne środki ostrożności. Czuł instynktownie, że właśnie ten dom został wybudowany specjalnie przez obu braci dla przeprowadzenia ich zbrodniczych planów i że cel jego porannych odwiedzin stał się w ten sposób podwójny. Na własne oczy chciał zobaczyć wielkość i jakość niebezpieczeństwa, grożącego ze strony tych nieludzko przewrotnych ludzi i tem samem poznać niebezpieczeństwo zagrażające jemu i Dianie.

Na myśl o Dianie, która bezpiecznie siedziała w domu, uśmiechnął się i pomyślał, co ona uczyniłaby i uczuła gdyby wiedziała, w jakiem znalazł się położeniu. Zabrano mu broń, którą miał przy sobie, co go jednak zbytnio nie niepokoiło. Wstał z łóżka, by przejść się po pokoju, lecz ciężar łańcucha przytwierdzonego do kostki, był tak wielki, że zmuszony był część jego wziąć do ręki.

Rzucił okiem na tajemnicze otwory w podłodze. Wiedział, że niebezpieczeństwo zagraża mu przedewszystkiem z tamtej strony. Urządzenie tej piwnicy było bardzo sprytnie obmyślane. Przez te grube ściany nie mógł przedrzeć się żaden okrzyk, ani wołanie o pomoc. Lampa osłonięta była grubem szkłem i przypominała lampy na pokładzie okrętu.

Przedewszystkiem chciał poznać długość łańcucha, gdyż spodziewał się, że ma jeszcze dość czasu. Dearborn będzie teraz zapewne w domu. Usłyszał trzask drzwi nad sobą i spojrzał ku górze. Niczego jednak nie zobaczył. Potem znowu wyczekał pół godziny, następnie odsunął duży blok kamienny, do którego przytwierdzony był łańcuch. Zanim jednak odnalazł nieprzemakalny worek, nagle zgasło światło.

Charakterystycznem było to, że zupełnie nie pomyślał o tej ewentualności. Woreczek był na dawnem miejscu, wyczuł to palcami, wyjął go ze schowka i poszukał klucza. Gdyby miał światło, odszukanie właściwego klucza nie sprawiałoby żadnych trudności; teraz jednak wypróbował już trzy klucze, lecz żaden nie nadawał się do zamka przy łańcuchu.

Wtem usłyszał lekki szmer... plusk... bulgotanie wody, wyciekającej jakby z flaszki... o nogi jego uderzył zimny prąd powietrza. Spróbował innego klucza, lecz ten go też zawiódł. Gorzej jeszcze — ...pozostał w otworze i nie dawał się wyjąć.

Słyszał szmer spływającej z otworów w ścianie wody, ...regularną pracę pompy. Ciągnął i szarpał klucz, grube krople potu spływały z czoła, wreszcie z westchnieniem ulgi wyjął klucz. Woda pokryła mu już stopy i z zawrotną szybkością podnosiła się.

Jeszcze jeden mały kluczyk. Inne były na ten cel za duże. Wyjął go, lecz koniec zaczepił o woreczek... klucz wpadł do wody. Szukał, macał... klucz przepadł! Palce jego latały w przerażeniu po podłodze, zmiatane silnym prądem wody i szukały nadaremnie klucza — ratunku... Wreszcie okrzyk radości. Znalazł go. Z trudem podniósł nogę, wsunął klucz do otworu i obrócił. Pierścień otworzył się — był wolny.

(C. d. n.)

Mikroskop i promienie ultrafioletowe

Nauka współczesna posługuje się mikroskopem w bardzo szerokim zakresie. Czyto idzie o nauki przrodnicze i medycynę (biologja, bakterjologja, histologja), czy o nauki techniczne. jak metalurgja, — mikroskop jest instrumentem niezbędnym w każdej pracowni.

Nie dziw zatem. że starano się o udoskonalenie tego instrumentu, dochodząc na tem polu do ostatecznych granic możliwości. Ale granice te istnieją — i żadną miarą przekroczyć ich nie można. Uwarunkowane są one samemi właściwościami fal świetlnych z jednej strony (zjawisko tzw. refrakcji) a zdolnością akomodacji oka z drugiej strony

W rezultacie — jak doświadczenie poucza — powiększenie w stosunku 1:1200 stanowi to maximum. do którego technika mikroskopowa może dojść. Przy powiększeniu silniejszem obraz staje się zamazany, kontury się zlewają, tak, że praktycznie nie daje to żadnych korzyści.

Trzeba było zatem szukać innego, sztucznego źródła światła. I tu w pierwszej linji zwrócono uwagę na promienie ultrafioletowe, o krótkich falach świetlnych. Jasną jest bowiem rzeczą, że równolegle ze zmniejszeniem się długości fali świetlnej zmniejsza się analogicznie i zjawisko refrakcji.

Podjęte na tem polu przed sześciu laty doświadczenia amerykańskiego fizyka Fr. Lucasa, przy pomocy zakładów Zeissa, doprowadziły do skonstruowania nowego typu mikroskopu z zastosowaniem promieni ultrafioletowych Nie nadaje się on do obserwacyj gołem okiem: uzyskany obraz musi być wyświetlony na specjalnie czułej kliszy fotograficznej, — co jednak nie przeszkadza, że można tą drogą dojść do odkrycia wielu szczegółów. niedostępnych dla oka w zwyczajnym mikroskopie.



Kompletne urządzenie do mikroskopji samopomocy promieni ultrafioletowych

Źródłem promieni ultrafioletowych w takim mikroskopie są elektrody skonstruowane z kadmium lub z cynku. Długość fal wysyłanych przez takie elektrody waha się między 2300 a 2750 angstroemów (jeden angstroem odpowiada jednej dziesięciomiljonowej milimetra). W praktyce stosuje się fale długości 2750 angstroemów, jako najlepiej odpowiadające celowi.

Promienie ultrafioletowe przechodzą przez soczewkę sporządzoną z kwarcu, poczem zapomocą odpowiedniego pryzmatu kwarcowego zostają skierowane do mikroskopu.

* * *

Mikroskop taki oddaje nieocenione usługi przedewszystkiem w przemyśle metalurgicznym, przy badaniu rozmaitych aljaży i stopów metali. Posiada zaś tę wyższość nad zwyczajnym mikroskopem iż daje powiększenia w stosunku 1:1800, a więc o 50 procent większe od dotychczasowych.

Teoretycznie możnaby go jeszcze udoskonalać, stosując coraz krótsze fale świetlne. Praktycznie jednak okazuje się to niemożliwem, promienie bowiem o fali krótszej niż 2000 angstroemów ulegają absorbcji atmosferycznej.

Wynalazek ten zainteresował naturalnie również i przyrodników i lekarzy, o ile idzie o badanie skrawków żywej tkanki lub komórek. Tu jednak natknęli się na nową przeszkodę: promienie ultrafioletowe działają na żywą tkankę destrukcyjnie. Działanie to przy długości fali 2750 angstroemów jest jeszcze stosunkowo dość powolne i pozwala na utrwalenie obrazu na kliszy. Przy krótszej fali jednak materja organiczna ulega tak szybkiemu rozkładowi, że już po paru minutach obraz uzyskany pod mikroskopem ulega zasadniczej zmianie i deformacji.

* * *

Tak przedstawia się stan badań i zdobyczy na tem polu w chwili obecnej. Technika mikroskopowa zrobiła znów olbrzymi krok naprzód. I znowu stanęła wobec — zdawałoby się — niezdobytej przeszkody.

Ale genjusz ludzki nie ustaje w swej pracy twórczej. Pozostają przecież inne jeszcze. a jak liczne źródła krótkich fal świetlnych. — przedewszystkiem promienie X o długości fali 2 do 0.1 angstroemów. Mikroskop posługujący się takiemi falami posiadałby siłę 5000 razy większą od naszych najlepszych aparatów.

Jak dotychczas nie udało się ich stosować praktycznie, nie znamy bowiem dotąd żadnego materjału. któryby zdolny był promienie te odbijać, nie absorbując ich zupełnie. Skutkiem tego jest rzeczą niemożliwą uzyskać w polu widzenia mikroskopu obraz zapomocą tych ultrakrótkich promieni świetlnych.

Kto wie jednak, czy już najbliższe lata nie przyniosą nam i na tem polu jakiej niespodzianki.

(R.)

Nowe miasto Faraonów

Ziemia Faraonów kryje w swem wnętrzu jeszcze nieprzebrane skarby, posiadające ogromną wartość archeologiczną, a pozwalające nam zapoznać się bliżej z kulturą starożytnego Egiptu.

Toteż niema prawie roku, by uczeni badacze nie odkopali spod piasków pustyni jakichś nowych zabytków. Poszukiwania prowadzone są obecnie z ramienia rządu egipskiego, pod kierunkiem znanego archeologa, profesora Selima Hassana.

W ciągu ostatnich kilku lat dały one piękne, niemal sensacyjne wyniki.

Zanotowac tu należy przedewszystkiem odkrycie czwartej piramidy, na południowy wschód od piramidy Kefrena i od Sfinksa. Piramida ta, zupełnie zasypana piaskiem, mieści wewnątrz grobowiec królowej Kent-Kawes, z czasów IV i V dynastji.

*

Jeszcze ciekawszem jednak było odkrycie całego miasta, znajdującego się w pobliżu. Miasto to było niewielkie, zamieszkane przez kapłanów i wysokich dostojników, a wnioskując z dotychczasowych wykopalisk, było to raczej „miasto umarłych“, niż żywych.

Wskazują na to liczne, doskonale dochowane, grobowce granitowe, podczas gdy domy mieszkalne, budowane z cegły, miały konstrukcję lekką i nietrwałą.

Nasuwa się zatem przypuszczenie, że zamieszkiwali je głównie kapłani i ludzie, do których należało spełnianie przepisanych rytuałów, jakim poddawano zwłoki.



Służebnica wałkująca ciasto

Wskazuje na to również, i to przedewszystkiem, odnalezienie t. zw. „barki zmartwychwstania“, jedynego okazu tego rodzaju. Jak wiadomo, starożytni Egipcjanie symbolizowali pośmiertną podróż dusz dwiema barkami, z których pierwsza płynęła od wschodu na zachód, druga zaś, symbolizująca zmartwychwstanie, odbywała podróż sw. nocą, w przeciwnym kierunku. Taką to właśnie barkę, drugiego typu, odkopał prof. Selim Hassan. Jest to statek długości 32 metrów, o wydłużonej wąskiej rufie, skierowanej ku wschodowi. W barce tej przewożono wyłącznie tylko zwłoki faraonów.

*

Wśród licznych grobowców, jakie udało się odkopać, znaleziono cały szereg doskonale zachowanych posągów i statuetek. Posągi zadziwiające precyzją wykonania i swoistym realizmem. Posągi dostojników dworskich, jak zarządcy pałacu królewskiego, dyrektora stajen królewskich i t. p. Bardzo ciekawa jest rzeźba, wyobrażająca służebnicę, zajętą wałkowaniem ciasta, rzeźba, pełna realizmu i życia.

Prace, rozpoczęte w roku 1929, przyniosły już dotychczas plon bardzo bogaty. Trwają one w dalszym ciągu, pozwalając przypuszczać, że jeszcze niejedną tajemnicę uda się wydrzeć piaskom pustyni.

Czy istnieją „mateczniki“?

Pamiętamy dobrze ów przepiękny opis matecznika w „Panu Tadeuszu“. Ten tajemniczy, niedostępny ludziom „smentarz“, do którego spieszy wszelki zwierz raniony lub chory, by umrzeć w swych ojczystych stronach.

I dochodzi Mickiewicz do ostatecznego wniosku, że

...w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Abstrahując od samego opisu matecznika, w czem poeta mógł snadnie popuścić wodze fantazji, — zastanówmy się nad sensem cytowanego powyżej dwuwiersza. „Martwych zwierząt kości“ można jednak znaleźć czasem w głębi lasu. Ai są to kości zwierząt, które nie zginęły śmiercią naturalną, lecz padły ofiarą jakiegoś wypadku.

Tak np. znajdowano szkielety dwóch rogaczy. które w czasie wiosennego „pojedynku“ tak się splątały rogami: że nie mogąc się rozłączyć zginęły wkońcu z głodu i wycieńczenia. Znajdowano kości postrzelonego dzika czy sarny, która zaszyła się w głąb lasu, by tam dokonać życia.

Ale próżno szukalibyśmy kości zwierzęcia, które zginęło śmiercią naturalną.

* * *

Uczony naturalista znajdzie wyjaśnienie tej zagadki: na to istnieje przecież cały szereg „grabarzy“ począwszy od maleńkich robaków aż do olbrzymich sępów, hyen i szakali, które spełniają sprawnie i szybko swą pracę, tak że po paru już godzinach pozostaje tylko nagi szkielet. Słońce i deszcze robią też swoje: następuje zupełny rozkład materji organicznej.

Zasadniczo racja. Ale przecież nie wszystko ginie bez śladu, nie wszystko ulega rozkładowi. I jeżeli można natknąć się czasem na rogi jelenia czy kły dzika, który zginął np. od kuli, — to gdzież się podziewają rogi zwierząt, które zginęły śmiercią naturalną?

Jeszcze trudniejsze do rozwiązania jest to pytanie w odniesieniu do dzikich mieszkańców dżungli. Trudno sobie wyobrazić. by np. potężne kły słonia, czy rogi antylopy lub bawoła mogły ulec zupełnemu rozkładowi i zniknąć bez śladu. A jednak nikt ich nigdy nie znalazł.

I jeszcze jedno: wielkie drapieżce, lwy, tygrysy, przynoszą nieraz do jaskini, w której mają legowisko, upolowaną zwierzynę. Kości tej zwierzyny znajdowano niejednokrotnie, nawet po kilkuset czy po tysiącach lat. Nigdy jednak nie znaleziono w jaskini kości samego drapieżcy.

* * *

Wedle Mickiewicza „zwierz chory“ spieszy do matecznika, by tam w ciszy i spokoju dokonać życia. Wynikałoby z tego że zwierzę ma pełną świadomość swego stanu. Czuje się starem, niezdolnem do walki o byt, niezdolnem do stawienia czoła swym licznym wrogom. Z[illegible] się tedy w najciemniejszy kąt lasu i tam, zrezygnowane, czeka ostatniej godziny.

Tu jednak nasuwają się poważne wątpliwości. Każde żyjące stworzenie posiada przecież potężny instynkt życia, instynkt niezmożony, nakazujący mu bronić się wszelkiemi siłami przed groźbą śmierci. Instynkt ten nie da się żadną miarą pogodzić z bierną rezygnacją, z wyczekiwaniem nadchodzącego końca bez jakichkolwiek prób ratunku.

A jeżeli zwierzę, wiedzione tym instynktem, próbowałoby się ratować przed śmiercią, — to śmierć ta zaskoczyłaby je niejednokrotnie w miejscach łatwo dostępnych.

Jednem słowem — stoimy tu przed zagadką, której najtężsi naturaliści dotychczas zadowolniająco rozwiązać nie zdołali.

A mickiewiczowski opis matecznika dowodzi, że poeta i temi zagadnieniami żywo się interesował. co więcej, że musiał je gruntownie studjować.

(R.)

— Adolf Menjou — przysięgły „arbiter elegantiarum“ Hollywoodu jest bohaterem filmu „Universalu“ p. t. „Kartka z życia“. W filmie tym — Menjou — występuje poraz pierwszy w swej karjerze artystycznej w roli dramatycznej. W filmie „Kartka z życia“ odtwarza Menjou rolę męża i ojca, który porzuca dom rodzinny dla artystki z kabaretu.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Mieniące tafty, ów ulubiony materjał naszych... prababek, cieszą się w sezonie karnawałowym ogromnem wzięciem. Robi się z nich zarówno całe toalety balowe, jak bluzki i kasaki.

— Kolor czarny (darujcie miłe czytelniczki, że znowu wracam do tego oklepanego tematu!) święci w Paryżu tryumfy. Coprawda, czarna suknia balowa musi być przybrana czemś barwnem, wnoszącem żywszą nutę. A więc: przypięte w stanie lub u gorsu duże sztuczne kwiaty, to znów szeroki pasek ze srebrnej lub złotej lamy, albo duże aksamitne szarfy. Nie mówiąc już o klejnotach, stanowiących zawsze najbardziej dystyngowaną ozdobę.

— Opatrzyły się już i znudziły paniom kapelusze nasuwane na czoło, na jedno lub drugie ucho... Obecnie kapelusz nosi się nasunięty mocno do tyłu głowy, dzięki czemu czoło jest zupełnie odsłonięte. Powiadają, że to „odmładza"...

— Dekolty przy sukniach balowych są zazwyczaj z tyłu bardzo głębokie. Równie modnym jest jednak bardzo skromne wycięcie stanika, przy równoczesnym systemie „okienek" rozmieszczonych na staniku i na rękawach.

— Bluzki narciarskie zapina się na klipsy skórzane lub metalowe w połączeniu ze skórą. Dadzą się one zapinać po samą szyję, a nierzadko mają z przodu skórzane wyłogi, — do tego skórzany pasek.

Klipsy stały się dziś wogóle „artykułem pierwszej potrzeby"... Służą i do zapięcia kokardy przy sukni, i zamiast klamry przy pantofelku i jako ozdoba kapelusza i jako zamek przy torebce. Widzi się nawet klipsy do zapinania stanika z umieszczonym pośrodku miniaturowym zegarkiem.

— Ostatnią nowość Paryża, to torebki bardzo wąskie i długie, bez rączki. Przedpołudniem torebka ze skóry boksowej, popołudniu z miękkiej skóry antylopy. I musi na niej być monogram z trzech liter: jedna złota, druga stalowa, trzecia miedziana!

— Przy sukniach wieczorowych rękawy bardzo szerokie, zrobione nieraz z innego materjału lub z błyszczącej lamy. Stanowi to pożądany kontrast: przy szerokich rękawach kobieta wydaje się szczuplejsza, w pasie.

— Kto sobie może na to pozwolić, niechaj przybierze suknię balową „pailletkami", drobnemi, układanemi w rozmaite, fantastyczne desenie. Ogromnie to wygląda efektownie i jest bardzo modne.

— Jako przybranie głowy przedewszystkiem lśniące diademy lub przepaski z lamy. Ale niemniej modne są kwiaty i pióra rajskich ptaków.



Suknia ślubna z ciężkiego matowego jedwabiu, podpięta pod samą szyję. „Okienka" w miejsce dekoltu harmonizują z krojem rękawów, sięgających tylko do łokcia. Piękny welon z koronki

KĄCIK KOSMETYCZNY

Barwiki na włosy

Jest ich cały legion, o różnorodnem działaniu. Nie wszystkie jednak są zupełnie obojętne zarówno dla samych włosów, jak i dla całego organizmu. Pomówimy dziś o najbardziej znanych

Henna, to środek absolutnie nieszkodliwy. Jest to produkt roślinny pochodzący z Arabji. Barwi włosy na kolor czerwony. — po dodaniu do niej proszku z orzecha włoskiego nadaje włosom refleks złocisty. Zmieszana z błękitnem

Indigo, również nieszkodliwym, roślinnym barwikiem, farbuje włosy na czarno.

Woda utleniona, najpopularniejszy środek, jest dla organizmu nieszkodliwy. Odbarwia włosy silniej lub słabiej zależnie od stopnia rozcieńczenia. Ale działa szkodliwie na włosy delikatne i kruche.

Sole ołowiane mogą łatwo wywołać objawy zatrucia, zwłaszcza przy częstszem ich stosowaniu.

Związki siarczane w silniejszym roztworze wywołują wypadanie włosów.

Sole miedzi, powodują kruchość łamliwość włosów, dlatego należy ich unikać.

Najczęściej stosowane bywają barwiki, w których skład wchodzi **parafenylen**. Dają najpiękniejsze efekty i działają szybko i pewnie. Ale sprowadzają łatwo wypryski, zapalenie skóry, które może ogarnąć uszy powieki, nawet całą twarz. Wyleczyć się z tego można, ale wymaga to nieraz dłuższej, paromiesięcznej nawet kuracji.

Jak z powyższego wynika, najniewinniejszemi są barwiki roślinne henna i indigo. Z innemi — ostrożność nigdy nie zawadzi!

Kwiaty w zimie

W porze zimowej roślina odpoczywa. Nie znaczy to jednak, jakoby nie wymagała od nas tej samej staranności pielęgnacji, co na wiosnę i w lecie, gdy znajduje się w pełni wegetacji

I w zimie potrzebuje ona światła i wody. A właśnie na tym ostatnim punkcie popełnia się największy grzechów. Zazwyczaj podlewa się w zimie rośliny za mało, co może doprowadzić do ich „zasuszenia".

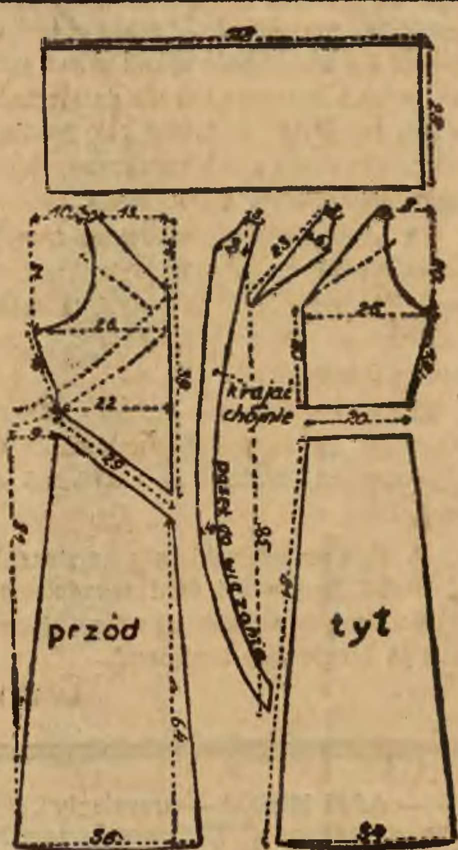
Zwłaszcza dotyczy to roślin kwitnących, jak fiołki alpejskie, primulki itp. Ale i każda inna roślina musi mieć stale wody poddostatkiem. Podlewamy je co 2—3 dni, niezbyt obficie, tak, aby ziemia nigdy się nie zeschła. Woda powinna mieć temperaturę pokojową; najlepszą jest woda deszczowa lub ze stopionego śniegu.

Jedynie kaktusy nie znoszą zbyt częstego podlewania: wystarczy robić to co 4—5 dni.

Niemniej ważną rzeczą jest częste skrapianie lub obmywanie roślin, celem usunięcia z liści kurzu. Skrapiać należy przedewszystkiem palmy, araukarje, paprocie, asparagusy. Rośliny o dużych, szerokich liściach myjemy co pewien czas miękką gąbką zamaczaną w wystałej wodzie.

Zima zagraża zdrowiu dzieci

Częste mrozy, słota i niepogoda są powodem przeziębień. Dzieci są na to szczególnie narażone, gdyż bez względu na pogodę muszą odbywać swą nieraz daleką drogę do szkół. Przeziębienia i kaszel wywołać mogą poważniejsze schorzenia i powikłania. Należy temu zapobiec przez wzmocnienie i uodpornienie organizmu dziecka, stosując Emulsję Tranową f. Scotta. Ogólnie bowiem wiadomem jest, że Emulsja Tranowa firmy Scott et Bowne, zawiera czysty wyciąg wątroby wątłusza, najbogatszego ze wszystkich źródeł w witaminy A i D, a także w hipofosfity wapnia oraz sodu, wzmacniające kościec dziecka. Dlatego też w przypadkach osłabień krzywicy, skrofułach i anemji, Emulsja Tranowa f. Scotta daje dobre wyniki. Jest ona przyjemna w smaku, łatwo przyswajalna, pobudza apetyt i powoduje przyrost wagi dziecka. Przy zakupnie należy żądać oryginalnej Emulsji Tranowej, wyrobu f. Scott et Bowne, S. A. ze znakiem ochronnym „Rybak z wątłuszem na plecach". 172





Dajemy dziś model i krój eleganckiej koszuli nocnej. Najodpowiedniejszym materjałem będzie crepe satin, którego potrzeba 3¼ metra, przyczem paski na plecach i piersiach robimy z materjału błyszczącego, resztę z matowego.

Co do koloru, najmodniejszy jest różowy. Nie wyklucza to ... brania innego koloru, w którym nam najlepiej „do twarzy".

Kobieta tęga...

O zbyt obfitym biuście, powinna pamiętać.

...że nieodpowiednie są dla niej szerokie żaboty, i kołnierze, poszerzające linję ramion.

...że najlepiej wygląda w obcisłej kamizelce lub w bluzce, z podłużnem wycięciem pod szyją.

...że bluzki nie powinny być w kolorze zbyt żywym i jaskrawym.

...że żakiet czy płaszcz z szerokiemi rewersami jeszcze silniej akcentuje te obfitość biustu.

...że rękawy powinny być albo zupełnie wąskie, albo poszerzone dopiero począwszy od łokcia.

Suknia na ślizgawkę

Klasycznym prawie strojem dla dobrej łyżwiarki jest suknia „princesse": spódniczka krótka do kolan, kloszowa, stanik obcisły zapinany na rząd guziczków. Najładniej wygląda aksamitna, — do tego biała czapeczka włóczkowa i białe rękawiczki.

Praktyczniejszą może na codzień jest kloszowa spodniczka i do niej dobrany odpowiednio sweterek.

Całość w kolorach ciemnych, nie jaskrawych (granat, bronz, ewent. czarne). Kolor biały niepraktyczny, bo zbyt łatwo i szybko się bruka. — a przytem zawsze trochę pogrubia.

Do kolorowego swetera musi być odpowiednio dostosowana czapka, szalik, rękawiczki i pończochy. A to wszystko można zrobić w domu szydełkiem lub na drutach. Będzie tańsze i także cieplejsze, — a aksamo ładne i modne.

Z WYDAWNICTW

„Ja to zrobię". Pierwszy w tym roku numer tego dwutygodnika zawiera cały szereg wzorów na roboty szydełkowe i na drutach, rzeczy praktyczne i bardzo ładne. Mamy więc i serwetkę koronkową i obrus z ładnym, oryginalnym haftem, i wstawki i koronki.

Dalej praktyczną lekcję ściegów na drutach, zapinany sweter, ozdoby szmuklerskie i t. d.

W dodatku wszelkie typy nakryć oraz modele i motywy pięknych haftów.

Interesująco zapowiada się artykuł o stylu w umeblowaniu.

Adres wydawnictwa: Warszawa, Świętokrzyska 17.

„Kobieta w świecie i w domu", nr. 1 (rok XI). Wśród licznych doskonale napisanych artykułów wymienić należy **„Smuga cienia"**, niejako artykuł programowy dla kobiet, **„Nasza niezależność"**, **„Kryzys gościnności"** (bardzo trafnie i dobrze napisane!) wreszcie **„Karnawał"**, (rozważania i praktyczne rady). Miłośniczki kwiatów zainteresuje obszerniejszy artykuł o **Palmach**; w rubryce **„Kłopoty Pani Domu"** wskazówki co do urządzania przyjęć dla młodzieży. Pozatem dobra nowelka „Dar noworoczny", i zwykłe rubryki oraz dużo oryginalnych pięknych modeli.